F. OLECHNOWICZ

prawda O SOWIETACH



FRANCISZEK
OLECHNOWICZ

PRAWDA O SOWIETACH

(WRAŻENIA Z 7-LETNIEGO POBYTU W WIĘZIENIACH SOWIECKICH R. 1927 — 1933)

WARSZAWA 1937

NAKŁADEM AUTORA

WITEBSK.

„Poputczik“.

Poputczik[1]) siedział przed lustrem i golił się. W mieszkaniu oprócz niego nie było nikogo. Zawdzięczając gościnności swego przyjaciela, dyrektora rządowego teatru witebskiego, poputczik zamieszkał u niego.

— Co za licho! — myślał poputczik, zeskrobując owłosienie z twarzy. — Jakie to dziwne. Gdy zaproponowałem spotkanie nowego roku w jakimś lokalu publicznym, brać aktorska spojrzała na mnie z takim przerażeniem, jakobym wyrzekł jakąś horendalną nieprzyzwoitość. Snadź w tym kraju uprawia się skrytopijstwo.

Albo z tymi spodniami! Przecież po moim przyjeździe z Wilna żaden z nich nie ominął mnie, nie pomacawszy za udo lub za łydkę z nieodmiennym pytaniem, co kosztują takie spodnie za granicą. Rzeczywiście, dziwnie się oni tutaj ubierają. Kobiety noszą na głowach męskie czapki, mężczyźni chodzą w jakichś kolorowych koszulach zamiast marynarek... A szczytem elegancji jest szary kołnierzyk...

Poputczik zaczął namydlać twarz do powtórnego golenia, gdy rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

---

[1]) „Poputczik“ — dosłownie ten, który towarzyszy w podróży, w danym wypadku sympatyk Sowietów.

— Któż tam u licha?

Wszedł jakiś nieznajomy.

— Przepraszam bardzo, że panu przeszkadzam. Widzę że pan się goli... Ale mam polecenie — jestem pracownikiem GPU — mam polecenie prosić pana, by pan był łaskaw jutro wieczornym pociągiem pojechać do Mińska... Chce się z panem widzieć towarzysz przewodniczący... Pragnąłby o czymś pomówić...

— A to dobrze się składa — odrzekł poputczik — właśnie pojutrze wybierałem się do Mińska.

— Nie, nie! Bardzo pana proszono, by jutro... Przepraszam pana, może trudności finansowe... Temu można zaradzić... Jeżeli pan pozwoli, mogę panu pożyczyć...

— O nie, bynajmniej... Dziękuję... No, jeżeli tak na tym zależy, mogę ostatecznie wyjechać jutro.

— Tak, bardzo proszę... Może pan będzie łaskaw podpisać, że zawiadomiłem pana.

— O, jakie formalności...

— Tak, wie pan, formalistyka w naszej instytucji. Nie ma rady, wymagają... Gdzie pan spotyka nowy rok?

— W gronie aktorskim, w mieszkaniu prywatnym.

— No, nie będę panu przeszkadzał. Do widzenia. Życzę wesołej zabawy.

Nawzajem... Do widzenia... Ostrożnie, tu ciemno... O, drzwi na prawo... Do widzenia, do widzenia, wesołej zabawy!

Nieznajomy wyszedł.

— Jacy mili ludzie — rozmyślał poputczik, siadając z powrotem przed lustrem — a tam u nas za granicą straszą nas zwykle tym widmem: GPU! Bardzo mili!

Dżentelmen! A jaka prostota stosunków. Nieznajomy człowiek ofiarowuje mi pożyczkę, jak stary przyjaciel... Mili ludzie! Nie to, co w zgniłych krajach burżuazyjnych!

„Filor".

Nazajutrz wieczorem poputczik siedział w poczekalni kolejowej nad butelką piwa, oczekując przybycia pociągu.

Do poczekalni weszło towarzystwo, składające się z dwóch panów, pani i psa. Panowie byli ubrani w czarne futra z karakułowymi kołnierzami, dama była ubrana nie gorzej, niż się ubierają na zgniłym zachodzie, jeden z panów miał ze sobą elegancki futerał, zawierający strzelbę myśliwską.

Przybyłe towarzystwo zajęło miejsce przy sąsiednim stoliku i rozpoczęło rozmowę na temat polowania.

Poputczik wiedział, że ziemiaństwo już dawno zostało zlikwidowane w państwie budującego się socjalizmu. Kim więc, u licha, są ci ludzie dostatnio ubrani, nieskazitelnie ogoleni, weseli, tryskający radością życia?

— Jak on się nazywa, zapomniałem — rzekł jeden z panów, wskazując na psa.

— Filor — odparł psi właściciel.

— Cha, cha — prawda zapomniałem... Filor! Świetne imię! Filor, pójdź tu... Cha, cha...

Filor siedział na podłodze obojętny, leniwie przenosząc swój wzrok z jednego na drugiego rozmawiającego. — Wtem gospodarz pochylił się do ucha Filora i, zerkając na poputczika, szepnął:

— Filor! weź!

Filor ociężale podniósł się ze swego miejsca, nie spiesząc, wolnym krokiem zbliżył się do poputczika i, opierając swe łapy na jego kolanach, zwrócił włochatą mordę ku swemu panu, jakby zapytując, czy dobrze wykonał polecone mu zadanie.

Eleganckie towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

— Jaki miły żart — pomyślał poputczik i uśmiechnął się, przesyłając spojrzenie nieznajomym.

Filor wrócił na swoje miejsce.

Rozmowa przeszła na inne tory. Teraz prym trzymała elegancka pani. — Mówiono o jedwabnych pończoszkach, o wygórowanych cenach, o trudnościach przy kupnie.

— Biedna! — pomyślał poputczik — ile ją kosztuje wysiłku i przemyślności, by utrzymać na odpowiedniej stopie swój wygląd zewnętrzny. Biedacy! jak im jest trudno z materiałami na ubranie.

Pociąg już przybył. Trzeba siadać. Lecz tylko jeden z wagonów idzie bezpośrednio do Mińska. Zajmując miejsce w innych wozach, należy się przesiadać w Orszy. Poputczik odnalazł wagon bezpośredniej komunikacji i ucieszył się, znajdując już w nim towarzystwo widziane w poczekalni. Zaczął się rozglądać, szukając wolnego miejsca.

— Pan szuka miejsca? — zbliżył się jeden z nieznajomych dżentelmenów. — Oto pańskie miejsce.

I wskazał ręką na wolną ławę.

Poputczik osłupiał: szczyt uprzejmości!

— Niech pan siada — kontynuował nieznajomy półgłosem — pan jest zaaresztowany, zrozumiano? Oto rozkaz.

I gepista wyjął z kieszeni jakąś kartę papieru, której jednak poputczik nie czytał, wierząc dżentelmenowi na słowo.

— Jakto? za co? dlaczego? — żachnął się tylko, usłyszawszy takie niespodziewane oświadczenie.

— Css! — uspokoił go nieznajomy — nie teraz, nie mówmy o tym, tu jest publiczność... Niech pan siada, może się pan położyć... Filor! na miejsce!

I Filor posłusznie polazł na wskazane mu miejsce pod ławą poputczika.

Gepiści kontynuowali przerwaną rozmowę. W końcu usnęli. Usnęli wszyscy podróżni w wagonie. Nie spał tylko poputczik i jego stróż czworonożny, Filor. Przy każdym najlżejszym poruszeniu aresztowanego bydlę pod ławą warczało złowróżbnie. Poputczik starał się nawet wstrzymywać oddech, by nie irytować swego niemiłego sąsiada.

Zresztą poputczik miał i inne powody do bezsenności. W głowie kotłowały mu się myśli: za co? to chyba nieporozumienie! co za kraj niespodzianek — ten związek sowieckich republik! ale za cóż m n i e?... przecież ja zmieniłem swoje ustosunkowanie się do sowietów! przecież już dawno ani słowem, ani piórem przeciw nim nie występowałem! przecież jestem poputczik! — Przybyłem do tego kraju całkiem l e g a l n i e!... Więc czegoż oni chcą?

Odpowiedzią na to pytanie było tylko nieprzyjazne warczenie Filora.



Z rana towarzystwo się rozstało.

Pan z flintą w futerale pożegnał pana bez flinty i jego damę. Usiedli do sanek: gepista obok poputczika, dama u nich na kolanach, u nóg ulokował się Filor.

— Ulica Sowiecka — GPU, — rzucił dorożkarzowi gepista.

Sanki pomknęły — w nieznaną dla poputczika przyszłość.

— Fiedia! czy ty prędko wrócisz? — zapytała dama swego towarzysza.

— Tak. Niezadługo. Jego tylko oddam. — Gest w stronę poputczika.

W komendanturze GPU zwykła procedura. Jeden „doręczył", drugi „przyjął", pokwitował. Potem osobista rewizja więźnia. Potem jakiś korytarz, szereg drzwi. Jedne z nich się przed nim rozwarły. Tapczan, zakratowane okno. Brudne, zapluskwione ściany...

A potem długie godziny rozmyślań, dni i noce, a może miesiące, a może lata nawet.

Rozmyślań, które rozpoczęły się w dzień nowego roku, a w których trakcie poputczik doszedł w końcu do przekonania, że jednak „nasze drogi rozchodzą się".

Refleksje.

Tym „poputczikiem" był autor niniejszych wspomnień.

Tak, istotnie jechałem do państwa sowietów jako poputczik, sympatyk, wierząc święcie, że tam się tworzy nowe piękne życie, że tam na kulturalnej niwie białoruskiej będę miał szerokie pole do pracy.

Ba! Przecież tyle słyszałem od swych przyjaciół politycznych o „wielkim budownictwie sowieckim", o rozkwicie w państwie dyktatury proletariatu nauki, sztuki i techniki, o samostanowieniu narodów, które „dobrowolnie" połączyły się w związek sowieckich republik radzieckich, wreszcie, co dla mnie stanowiło największą przynętę jako dla Białorusina, mówiono mi o białorutenizacji Białoruskiej Republiki Sowieckiej: o państwowych teatrach bogato subsydiowanych, o całej gęstej sieci szkół, o wyższych uczelniach białoruskich, o szerokiej akcji wydawniczej, gdzie nakład książki obliczany jest na dziesiątki tysięcy egzemplarzy...

I tak dalej.

I temu podobne.

Wszystko to przed swym wyjazdem przyjmowałem za dobrą monetę. Ci, którzy krytycznie odnosili się do mych zachwytów, nie byli zdolni mnie przekonać. Jechałem pełen wiary w to nowe, inne, lepsze życie, nie spodziewając się, że iluzje tak prędko się rozwieją.

Po przyjeździe do Białorusi Sowieckiej trafiłem na szereg uroczystości: zjazd naukowy, organizowany przez Instytut Białoruskiej Kultury w Mińsku, uroczyste otwarcie Drugiego Państwowego Teatru w Witebsku. Ponadto był to okres Nep'a (nowej polityki ekonomicznej), gdy był dozwolony handel prywatny, a więc nie było głodu, a wieś, wówczas jeszcze nie skołchozowana, dostarczała do miasta produktów spożywczych pod dostatkiem.

Jednym słowem, na pierwszy rzut oka życie nosiło charakter normalny.

Toteż, gdy na kilkanaście dni przed mym zaaresztowaniem zostałem wezwany do GPU na badanie, które

nosiło charakter przyjacielskiej pogawędki i nie obudziło we mnie podejrzeń, gdy potem zaproponowano mi starania się o uzyskanie obywatelstwa sowieckiego, odparłem z radością:

— Ależ, jeżeli to tylko możliwe, z największą chęcią! Przecież po to przyjechałem, by tu żyć, pracować, tworzyć...

— Więc o cóż chodzi! Piszcie, towarzyszu, podanie. U nas idzie to prędko. Zaraz zatelefonujemy, by wam nie stawiano przeszkód...

Istotnie — po dziesięciu dniach (tak!) byłem już obywatelem sowieckim, a w trzy dni po otrzymaniu obywatelstwa... zostałem zaaresztowany.

Ogółem cieszyłem się wolnością niedługo. Przybyłem bowiem do ZSRR w dn. 17 listopada 1926 r., a w dniu 1 stycznia 1927 już mnie zaaresztowano.

Po pierwszym wydaniu swych wspomnień, które zatytułowałem „Siedem lat w szponach GPU" często słyszałem pytania, dlaczego nic nie piszę o okresie czasu, poprzedzającym pozbawienie mnie wolności i dlaczego nie piszę o przyczynach mego uwięzienia.

Sprawy te przemilczałem wtedy rozmyślnie. Powiem dlaczego: poprostu było mi wstyd. Wstyd mi było, że ja, człowiek dojrzały, dałem się tak naiwnie, tak głupio, tak sromotnie głupio nabrać. Tak bezkrytycznie wierzyłem w fatamorganę sowiecką, że nawet agentów Głównego Urzędu Politycznego (GPU) traktowałem jak ludzi godnych zaufania, dżentelmenów, nieomal przyjaciół...

Otrzeźwienie przyszło zbyt późno...

MIŃSK.

Cela w piwnicy.

Drzwi zatrzasnęły się, zgrzytnął klucz w zamku. Rozejrzałem się po swoim nowym mieszkaniu: lokal piwniczny, podłoga ze źle dopasowanych cegieł, w oknie pod pułapem kraty, prawie wszystkie szyby wybite, w ścianie jakieś dziury tajemniczego pochodzenia.

Zimno. Zapaliłem papierosa (papierosów mi nie odebrano) i rozpocząłem spacer po celi, od ściany do ściany, od kąta do kąta, jak zwierz zamknięty w klatce.

Nawał myśli kotłował się w mej głowie. Nie mogłem jeszcze zrozumieć swego położenia, za co, w jakim celu zostałem zaaresztowany, wtedy bowiem nie powstawało mi jeszcze w głowie przypuszczenie, że zostałem sprowadzony do Z. S. S. R. prowokacyjnie.

Zamiast szerokiej pracy kulturalnej w Białorusi Sowieckiej, obiecywanej przed moim wyjazdem, — ciasna cela w piwnicy z wybitymi szybami.

Zmęczony myślami i wędrówką po celi usiadłem na tapczanie, stanowiącym jedyny mebel w tej dziurze. Spróbowałem zasnąć. Wyrwałem z podłogi dwie cegły, podłożyłem je pod głowę i wyciągnąłem się na swoim łożu. Przejmujący chłód zmusił mnie jednak znów do zerwania się z owego posłania i kontynuowania przerwanej wędrówki zwierza w klatce.

Przyniesiono mi w aluminiowej misce herbaty i kawałek cukru. Chciwie piłem tę ciepłą ciecz.

Wieczorem apel (sprawdzanie).

— Jakże się czujecie? — zapytał ironicznie czekista. — Co? Zimno?

— Czy długo tu będę siedział? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Nie, nie długo, parę dni... — uspokoił mnie czekista.

Istotnie po dwóch dniach owej „kwarantanny", zostałem przeprowadzony do innej celi, posiadającej drewnianą podłogę, całe szyby, umeblowanie — oprócz tapczanów do spania — stół i dwa taborety. Tutaj było ciepło.

Mój towarzysz.

Siedziałem już nie sam: przywitał mnie tutaj jakiś więzień o ponurym spojrzeniu.

Rozgadaliśmy się. Mój ponury towarzysz niedoli był to oficer jednego z państw sąsiadujących z ZSSR. Kierował wywiadem na odcinku pogranicza. Trafił do więzienia sowieckiego w sposób następujący:

Mieszkał w pobliżu granicy. Przed rokiem, pewnego zimowego wieczoru, zgłosił się doń jeden z jego wywiadowców, zamieszkałych po stronie sowieckiej, rzekomo po instrukcje. W trakcie rozmowy, korzystając z tego, że drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz, wtargnęło do mieszkania ośmiu uzbrojonych ludzi w uniformach GPU. Napadnięty, domyślając się zdrady, dobył browninga i zaczął strzelać do napastników, przy czym

jednego z nich zranił. Ale rzucili się nań, obezwładnili go, zbili kolbami karabinów, zabrali archiwum i powlekli swą ofiarę na stronę sowiecką. Obecna przy tym zajściu żona napadniętego wybiegła z izby, by zaalarmować pobliski posterunek wojskowy, lecz, zanim żołnierze porwali za broń i skoczyli na odsiecz, napastnicy wraz ze swą ofiarą zbliżali się już do lasu, położonego na terytorium sowieckim. Żołnierze nie mogli strzelać za uchodzącymi, bowiem, wobec wieczornego zmroku łatwo mogliby trafić swego oficera.

Wszystko to było dziełem kilku minut.

Zbitego, oszołomienego niespodzianym zajściem wleczono do najbliższego posterunku GPU, popędzając uderzeniami kolb.

Schwytany wiedział, co go oczekuje. Groźbami, obietnicami i całym aparatem środków, jakimi rozporządza w tym celu GPU zdołano więźnia sterroryzować w ten sposób, że wydał wszystkich zamieszkałych na terytorium sowieckim swych współpracowników.

Państwo, którego był obywatelem, interweniować w tej sprawie nie mogło, gdyż wymuszono od więźnia zeznania na piśmie, że... przeszedł on granicę dobrowolnie!

Odbył się w Mińsku sąd. Na ławie oskarżonych zasiadło kilkadziesiąt osób. Dwóch spośród nich skazano na karę śmierci, innych na rozmaite terminy więzienia (przeważnie 10 lat), głównemu zaś bohaterowi procesu, ze względu na jego „szczere przyznanie się do winy i skruchę“, wymierzono najlżejszy wymiar kary — pięć lat więzienia.

Skazany wiedział jednak, że wyrok sądu nie obowiązuje GPU. Wiedział dobrze, że dziś skazany na pięć lat więzienia, jutro z wyroku kolegium GPU może być rozstrzelany. Toteż żył w ciągłej niepewności swego jutra. Nieraz, gdy pomocnik komendanta Wawiłow, który w mińskim GPU pełnił funkcje kata, zaglądał do naszej celi, towarzysz mój zapytywał go rubasznie, maskując wewnętrzny niepokój:

— No, jak myślisz, Wawiłow, czy mnie rozstrzelają?

— E, cóż znowu... — odpowiadał zapytany.

Wogóle Wawiłow odznaczał się dobrodusznością i starał się zawsze podtrzymać wśród uwięzionych pogodę ducha. Przypuszczam, że jadąc na miejsce kaźni, jeszcze tutaj starał się dodać skazańcowi otuchy, klepiąc go po ramieniu:

— Ty się, bracie, nie martw... To nic strasznego... To tak, jakbyś jechał do dentysty: jedna chwilka, a potem nic... dobrze...

Na Komarówkę!

Tematy do rozmowy prędko się wyczerpują, tym bardziej, gdy dwóch ludzi zmuszonych jest przebywać ze sobą nierozłącznie całymi dniami i nocami. Gdy nie mieliśmy już nic sobie do opowiadania, graliśmy w szachy.

Pewnego dnia mój towarzysz był jakoś dziwnie roztargniony, stale przegrywał. W miarę tego, jak się zbliżał wieczór, zaczął ogarniać go jakiś niepokój. Zapytałem, co mu jest.



Uliczny handel starzyzną zastępuje mieszkańcom Z. S. R. R. niemal w zupełności sklepy obuwia i bławatów. Nowych towarów jest stale brak. Oto uliczni sprzedawcy starego obuwia.



„Księgarnia" w Leningradzie.

— Dziś poniedziałek — odparł.
— Więc cóż? Taki sam dobry dzień, jak każdy inny.
— Dziś poniedziałek... Już dwa tygodnie jak nikogo nie brali... Myślę, że dziś wezmą.
— Dokąd?
Zapytany spojrzał na mnie przeciągle i odpowiedział gardlanym szeptem:
— Na Komarówkę.
— Co to jest Komarówka?
— Las. W lesie komarowskim zwykle rozstrzeliwują. Czyż nie wiecie?
Nic o tym nie wiedziałem. Teraz dowiedziałem się... Zwykle w niedzielę powracał kurier z Moskwy, przywożąc ze sobą wyroki GPU, zaś w poniedziałek rozpoczynało się ich wykonywanie.
Teraz zrozumiałem, czemu mój towarzysz tak nierozważnie wystawiał swego „króla" pod szach. Bowiem jemu samemu groził w tej chwili „mat".
Graliśmy jednak dalej.
Wtem mój partner zerwał się i zaczął nerwowo przechadzać się po celi.
— Nie gracie? — pytam.
— Czyż nie słyszycie? — odpowiedział.
Na podwórze zajechało auto ciężarowe i niewyłączony motor huczał bez przerwy. Mój towarzysz rzucił się ku drzwiom i przylgnąwszy uchem, zaczął nadsłuchiwać. Patrzyłem na to ze zdziwieniem, nie odczuwając w całej pełni tragedii, jaka się rozgrywa w tej chwili w piwnicach GPU, a w duszy mego towarzysza w szczególności. Ten po chwili tygrysim skokiem znalazł się przy oknie. Okno nasze wychodziło na podwórze.

— Biorą... — wyszeptał zdławionym głosem.

Przed oknem chyżo przemknęły jakieś cienie. Słychać było jak ruszyło auto. Huk motoru zaczął się oddalać. Spojrzałem na swego kamrata. Stał obłędnie wpatrzony w okno, i pokryjomu strzepywał łzy, toczące się mu z oczu.

Powieziono na Komarówkę dwóch zdradzonych przezeń towarzyszy.

Judaszowa robota.

Chociaż sprawa mego kamrata więziennego była rozstrzygnięta i nie pozostawało mu nic innego, jak odsiadywać karę lub oczekiwać ewentualnego rozstrzelania, od czasu do czasu wzywano go na górę do pokojów sędziów śledczych. Po powrocie często czułem z ust jego odór wódki. Opowiadał mi, że wzywano go celem porozumienia się co do zawiadomienia o jego losie pozostałej za granicą rodziny itp. bajdy. Wtedy tym opowiadaniom wierzyłem, dziś zaś, nauczony doświadczeniem siedmioletniego pobytu w więzieniach sowieckich, rozumiem, co oznaczały jego częste wycieczki „na górę“. Zdawał tam sprawozdanie z rozmów i mego zachowania się w celi. Zdeprawowany terrorem brnął dalej w swej robocie judaszowskiej, żywiąc nadzieję, że tym kosztem ocali sobie życie.

Cela nasza posiadała swoją historię. Opowiadano, że w niej przebył dwa dni po zaaresztowaniu Sawinkow, w niej był więziony ks. Usas, wymieniony potem do Polski, oraz inne „znakomitości“. Istotnie cela nasza, jak

przekonałem się potem, była jedną z najlepszych, okno, jak nadmieniłem, wychodziło na podwórze. Toteż, mimo, że to było surowo wzbronione, przytuleni do framugi okiennej mogliśmy obserwować więźniów z innych cel podczas ich spaceru.

Pierwsze badanie.

Po dwóch tygodniach wezwano mnie na badanie. Oskarżony byłem z artykułu 58 kodeksu sowieckiego. Zastosowany do mnie punkt tego artykułu brzmiał: „Udział w organizacji lub współdziałanie z organizacją, działającą w kierunku pomocy międzynarodowej burżuazji“.

Istotnie kiedyś w Wilnie należałem do stowarzyszeń wrogo nastrojonych w stosunku do sowietów, aczkolwiek politycznie nie angażowałem się nigdy. Mój współudział ograniczał się tylko do pracy kulturalnej. Na moje oświadczenie, że wszak to było już dawno, że przez ten czas zmieniłem już orientację, że jestem zdecydowanym zwolennikiem ładu sowieckiego, odpowiedziano mi z ironicznym uśmiechem:

— A czy starych grzechów okupić nie trzeba?

— Lecz przecież przed wyjazdem otrzymałem wizę sowiecką! Więc zgadzaliście się na moje przybycie, więc tym samym stwierdziliście, że nie uważacie mnie za swego wroga!

Zamiast odpowiedzi ujrzałem znów ironiczny uśmiech na ustach badającego mnie gepisty.

I teraz zaczęło mi świtać w głowie: a więc to prowokacja! więc udzielono mi wizy, potem w Mińsku

zaproponowano mi przyjęcie obywatelstwa sowieckiego — wszystko w tym celu, by w rezultacie aresztować mnie i...

Co dalej ze mną uczynią — nie wiedziałem.

Gdy wróciłem do celi, poprosiłem swego towarzysza więziennego o kodeks.

Prawie każdy artykuł groził karą śmierci.

Oczywiście i mój — 58 też.

Apanasik.

Przebywająca za granicą moja rodzina nic nie wiedziała o moim losie, ponieważ byłem pozbawiony wszelkiej łączności ze światem zewnętrznym i wybierała się również przyjechać do Mińska. Gdy wyprowadzano na spacer kobiety, z ogromnym niepokojem rzucałem się ku oknu, przypuszczając, że wśród uwięzionych ujrzę swą żonę i dzieci. Obawy me były całkiem uzasadnione, gdyż w „państwie budującego się socjalizmu" o zaaresztowaniu kogoś stanowi nie przestępstwo popełnione przezeń, lecz stopień pokrewieństwa z innym uwięzionym.

Dni jednak mijały jakoś szczęśliwie.

Wtem pewnej nocy usłyszałem na korytarzu krzyk kobiecy i płacz dzieci. Stało się — pomyślałem. Z niecierpliwością oczekiwałem jutrzejszego spaceru po podwórku uwięzionych kobiet. Wtajemniczony w moje obawy stojący przy oknie nazajutrz mój kamrat zawołał:

— Wychodzą!

Rzuciłem się ku oknu, nie zważając, że mogę zwrócić na siebie uwagę stojącego na zewnątrz szyldwacha... Odetchnąłem z ulgą: wśród uwięzionych żony mej i dzieci jeszcze nie było. Nowoprzybyła była to jakaś kobieta wiejska, zapewne z pogranicza. Męża snadź los smutny spotkał wcześniej; teraz kobieta musiała wędrować w ślad za nim, nie mając czyjej opiece powierzyć swych maleństw.

Najmłodsze z aresztowanych miało zapewne niespełna dwa lata i z trudem jeszcze chodziło o własnych siłach. Uznając młodocianego „przestępcę" za niezbyt niebezpiecznego, pozwolono mu w ciągu dnia biegać po korytarzu. Pamiętam, miał na imię Apanas. Pewnego razu, gdy z jakiegoś powodu otworzono drzwi naszej celi, ujrzałem przed drzwiami ciekawie spoglądające na mnie oczy dziecka. Przytuliłem do serca młodocianego towarzysza-więźnia, ciesząc się jednak w swym egoizmie ojcowskim, że to nie mój Kazik spędza swe lata sielskie-anielskie o chlebie więziennym, lecz biedny, obcy mi Apanasik...

Nowy „legawy".

Do naszej celi zaczęli przybywać nowi więźniowie. Niebawem mego pierwszego towarzysza więziennego odseparowali ode mnie i przenieśli do innej celi. Miejsce jego, jako informatora odnośnych czynników o tym, co się dzieje w celi, zajął nowy „legawy" [1]) niejaki K. Był

[1]) Mianem „legawy" w więzieniach rosyjskich nazywają tych, którzy szpiegują swoich towarzyszy i donoszą o nich władzy więziennej.

to już człowiek starszy, skazany za szpiegostwo na rzecz jednego z państw ościennych na dziesięć lat więzienia. Karę swą odbywał w Połocku.

Pewnego dnia GPU przypomniało sobie o cichym więźniu z Połocka i postanowiło go wykorzystać do swych celów. Za okazane usługi obiecano wolność... w przeciągu trzech miesięcy. Przeniesiono go do Mińska. Dawano mu lepszą rację więzienną, składającą się z kawałka mięsa na obiad, trzynastu papierosów dziennie, większej ilości cukru, niż otrzymywaliśmy wszyscy itp. Od czasu do czasu K. otrzymywał również pieniądze na zakupno wiktu dodatkowego. Naiwny wierzył święcie w obiecaną mu wolność, nadstawiał bacznie ucha na nasze rozmowy, rewidował nasze rzeczy, gdyśmy wychodzili na spacer, a on sam pozostawał w celi, symulując chorobę — i strasznie się dziwił, gdy minęły zapowiedziane trzy miesiące, minęło i znacznie więcej, a obiecanej wolności nie ujrzał. Wobec nas, oczywista, tłumaczył swoje nadzieje jakimiś nowymi okolicznościami, które się wyłoniły w jego sprawie, a na których mocy GPU rzekomo ma go zwolnić przed terminem.

Biedak wierzył w swoje zwolnienie i w imię wolności uprawiał swój niecny proceder.

„Karcer".

W naszych piwnicach był „karcer" dla więźniów nieposłusznych, łamiących ustalone przepisy, lub dla nie dających podczas badania wymaganych zeznań. Była to ubikacja pod schodami, wilgotna, ciemna, pozbawiona

wszelkich sprzętów i o tak niskim pułapie, że stać tam było niemożliwością, można było tylko siedzieć na podłodze. Po paru dniach pobytu w owym karcerze, więzień wyglądał jak po przebyciu ciężkiej choroby.

Najczęściej do karceru trafiały kobiety. Nieraz słychać było dochodzące z korytarza ich histeryczne krzyki, gdy gepiści wlekli je do ubikacji pod schodami.

Razu pewnego powleczono za jakieś przewinienie opisywaną powyżej uwięzioną z małymi dziećmi włościankę. Rozdzierający duszę krzyk rozlegał się na korytarzu, gdy odrywano matkę od dzieci. Długo było słychać szamotanie się, snadź kobieta stawiała opór. W końcu udało się oprawcom ulokować nieszczęśliwą w karcerze. Krzyk jednak trwał dalej. Jakiś miarowy, rytmiczny krzyk-jęk, znajomy mi, gdzieś już przeze mnie słyszany.

Przylgnąłem do drzwi i nasłuchiwałem, starając się ułowić wykrzykiwane słowa.

U nas we wsi białoruskiej zachował się zwyczaj lamentowania na pogrzebach. Po białorusku to się nazywa „hołosić". Zawodowe płaczki pogrzebowe lamentują nad zwłokami zmarłego, wychwalając jego zalety i opisując rozpacz pozostałych przy życiu, utartymi, wyuczonymi na pamięć słowami. Coś podobnego usłyszałem teraz. Tylko, że to nie był ów wyuczony szloch nad umarłym, to był prawdziwy krzyk rozpaczy, wyrywający się z piersi nieszczęśliwej. To była jakaś straszna improwizacja kobiety z ludu w chwili największego nerwowego napięcia, wyrażającej swe bóle skandowanymi tyradami.

Około dwóch godzin bez przerwy trwała ta pieśń buntu i nienawiści, potem zaczęła zcichać, aż zcichła zupełnie. Nie wiem, czy płaczka usnęła, czy zemdlała może.

Dreszcz niezwykły mną wstrząsał, gdy słuchałem tej szczerej, nie przemyślanej, nie zrobionej, lecz bezpośrednio wyrywającej się z duszy, oszalałej bólem, rozpaczy.

Opisać te wrażenia trudno, trzeba samemu słyszeć ten szał rozpaczy, by go zrozumieć i odczuć.

Bóg chciał...

Siedział w naszej celi żyd, stary robotnik-garbarz. Ze względów religijnych nie jadł wiktu więziennego, odżywiał się tylko tym, co mu dwa razy tygodniowo przynosiła rodzina. Małomówny, po całych dniach wzdychał ciężko, lub modlił się.

Pewnego razu podczas naszej rozmowy z dozorcą, ten ostatni zapytuje ortodoksa:

— Ot, ty się wciąż modlisz, a Bóg ci nic nie pomaga. Siedzisz w piwnicy GPU, a twój Bóg nie może cię wyratować.

Zainterpelowany westchnął i odparł sentencjonalnie:

— Oj! Bóg chciał — nie było GPU, Bóg zechce nie będzie GPU...

Wtem, spostrzegłszy nieostrożność swego powiedzenia, wnet się poprawił:

— Och, com ja rzekł!... Chciałem powiedzieć: Bóg zechce — ja nie będę w GPU.

Niepoprawny „kontr-rewolucjonista"!

Egzekucje.

Egzekucje stawały się coraz częstsze. Rzadko mijał poniedziałek, by auto ciężarowe nie powiozło kogoś na rozstrzelanie.

Nikt z nas nie był pewien jutra, tylko, że wnosząc z aktów oskarżenia, jeden miał więcej szans „przejechać się na Komarówkę", inny mniej. Szubieniczniczy humor nadał specjalne nazwy stosowanej u nas karze śmierci, mianowicie mówiono: „powędrować na księżyc", lub „otrzymać trzy zołotniki"[1]), tyle bowiem waży kula od „Naganu" — rosyjskiego rewolweru wojskowego, którego używano dla egzekucji. I śmieli się i dowcipkowali nieraz ci, którzy jutro właśnie mieli otrzymać „w podarunku" trzyzołotnikową kulę z lufy „Naganu". Strasznie było patrzeć na tę brawurę śmiechu, zdawało się, że to się już śmieje, szczerząc dwa rzędy zębów, trupia czaszka.

Odgłos motoru auta stojącego w podwórzu, działał jednak na wszystkich elektryzująco. Śmiechy milkły, rozmowy się urywały, kłótnie zcichały... Już słychać w korytarzu odgłos zbliżających się kroków. Idą! Już!... Nie! Przeszli mimo. Naszą celę ominęli. Gdzieś zgrzytnął klucz w zamku. Wszyscy zamarli, jak pies na czatach. Nadsłuchują. Ktoś się odzywa szeptem:

— Biorą z sąsiedniej celi...

— Cicho!! — syczą ze złością nadsłuchujący pode drzwiami.

— Zapewne...

---

[1]) Zołotnik — waga rosyjska = około 12 gram.

— Zmilknijże, do stu par diabłów!...

Po przez ściany słychać: „Sobirajsa s wieszczami!“ — to znaczy: zabieraj się z rzeczami. Skazańcowi bowiem nigdy nie mówią, dokąd go wiodą. Dopiero na korytarzu...

Na korytarzu jakieś krótkie szamotanie, jakiś zdławiony, wtłoczony z powrotem do gardzieli krzyk...

Znów szybkie kroki kilku par nóg. Dźwięki motoru się oddalają. Znów cicho. Wszyscy mają blade twarze, błyszczące przerażeniem oczy. Po chwili jednak mieszkańcy cel wracają do zwykłego życia więziennego. Lecz długo odczuwa się jeszcze powiew śmierci.

Bo pozostaje przecież jeszcze cała noc. W nocy wizyta auta może się powtórzyć. A jutro wtorek, Czasem we wtorki również odbywają się egzekucje, gdy z jakichś niewiadomych przyczyn nie zdążą załatwić wszystkiego w poniedziałek. Dopiero w środę można już odetchnąć swobodnie: do następnego poniedziałku!...

Nieraz kandydaci na rozstrzelanie, w oczekiwaniu fatalnego poniedziałku, umawiali się z towarzyszami w ten sposób:

— Słuchajcie, gdy będą mnie brali, zostawię w celi swój pas, lub miskę, lub inny przedmiot... Jeżeli przeprowadzą mnie do innej celi, wtedy przyślę dozorcę po zostawioną, rzekomo zapomnianą rzecz. W przeciwnym razie...

Kończyć zdania nie trzeba było: wszyscy dobrze wiedzieliśmy, co nastąpi w owym „przeciwnym razie“.

Procedura postępowania ze skazańcem jest następująca: gdy wyszedł na korytarz i zatrzaśnięto drzwi

celi, wiążą mu ręce z tyłu, w razie potrzeby kneblują usta i wrzucają do auta, które wiezie go na Komarówkę. Tam strzelają mu z rewolweru w mały móżdżek i zamordowanego zakopują do przygotowanego zawczasu dołu.

Czytelnik może zadać pytanie, skąd autor owego opowiadania, pozostawiony przy życiu, może jednak wiedzieć o całej tej procedurze? A czyż nie gwarzyliśmy z oprawcami? Czyż w chwili przystępu szczerości pod wpływem alkoholu, którym kaci zwykle raczą się przed i po egzekucji, nie słyszeliśmy ich własnych zwierzeń? Wszak u nas stosunki panowały proste, nie takie, jak np. w GPU moskiewskim, gdzie zabronione są nie tylko rozmowy pomiędzy więźniami a dozorcami, lecz nawet więźniów między sobą.

„Inscenizacje".

Zdarzało się też, że opornego w zeznaniach więźnia, gdy nawet stosowanie karceru nie mogło zeń nic wydobyć, „brano na kawał" — a mianowicie urządzano swego rodzaju inscenizację: wiązano, wieziono skrępowanego do lasu i tu, nad wykopanym dołem, przystawiano mu do głowy lufę rewolweru, żądając zeznań i obiecując darować życie w razie posłuchu.

Siedział w naszej celi niejaki Wołk-Michajłow, młody chłopak, zdecydowany kontr-rewolucjonista. Pewnego wieczora wezwano go na korytarz...

Wrócił po paru godzinach blady, z wyrazem obłędu w oczach, z przebiegającymi po ciele nerwowymi dre-

szczami. Nic na razie nie mogliśmy się odeń dowiedzieć, co z nim się działo? Dopiero nazajutrz, gdy nieco się uspokoił, opowiedział nam o swojej wczorajszej podróży na Komarówkę.

W parę miesięcy potem rozstrzelano go.

Psychoza.

W takich warunkach życia u wielu z nas zaczęły się objawy psychozy. Jeden z nas, spacerując po podwórku, usiłował wszystkie napotykane kałuże błotne przekraczać prawą nogą, będąc przekonany, że skoro uczyni to lewą, będzie niezawodnie rozstrzelany. Inny unikał zakładania rąk za plecy, przypuszczając, że może to sprowadzić wyrok śmierci. Inny jeszcze, kładąc się do snu, ustawiał na noc swe buty nosami ku drzwiom, będąc przeświadczony, że niestosowanie się do tego przyniesie mu nieszczęście. Gdy pewnego razu przez roztargnienie zapomniał ustawić swe buty w należytym kierunku, zbudził się śród nocy i przerażony co rychlej naprawił swoje uchybienie.

Wszyscy niemal miewaliśmy koszmarne sny. W nocy wciąż słychać było krzyki i jęki przez sen. Wstrząs systemu nerwowego w więzieniach GPU jest tak silny, że nocne koszmary stają się nieodstępnymi towarzyszami na całe życie. Leżąc potem na ogólnych pryczach w obozie sołowieckim, wciąż słyszałem te nocne krzyki więźniów śpiących niespokojnym snem. Ja sam zresztą obecnie, po szczęśliwym wydobyciu się z „państwa dyktatury proletariatu“ niepokoję swych domowników

krzykiem w nocy. To śnią mi się badania przez „sędziów" GPU, to śni mi się turkot auta zajeżdżającego o zmroku po ofiary.

Często słyszeliśmy w sąsiednich celach krzyki wariatów. W mojej celi w moich oczach dostał obłędu pewien młodzieniec, sjonista, wpadając w atak furii. Obezwładniliśmy go i czekaliśmy pół doby nim odesłano go do szpitala.

„Wojkowcy".

Zima już przeszła, minęła wiosna, zaczęło się lato. W przeludnionych piwnicach stało się duszno nie do wytrzymania. Stale dwóch z nas dyżuruje i, stojąc na pryczach, wymachuje kocem, wywołując w ten sposób przewiew.

Pewnej nocy w pierwszych dniach czerwca, zbudził nas jakiś niezwykły ruch na korytarzu, jakieś głosy, kroki licznych nóg, otwieranie cel. Po chwili drzwi naszej celi się otwarły i wtłoczono nam około dwudziestu nowych lokatorów. Już i bez nich było ciasno, spaliśmy wszyscy pokotem, jeden przy drugim, dusiliśmy się z braku powietrza, — teraz zaś już nawet mowy być nie mogło o tym, by jakoś leżeć. By dać miejsce nowoprzybyłym, musieliśmy wstać ze swych tapczanów, wynieść je na korytarz i ulokowywać się jak kto mógł w przeludnionej celi.

Cóż się stało?

W Warszawie na dworcu kolejowym młodociany monarchista rosyjski, Borys Kowerda, strzelił z rewol-

weru do posła sowieckiego, Wojkowa. Odbiło się to głośnym echem w całym Z. S. R. R. Nie wiem, czy można znaleźć choć jeden kącik na olbrzymim terytorium państwa socjalistycznego, gdzieby „mszcząca dłoń proletariatu“ nie wtrącała swych „wrogów klasowych“ do więzień, nie wysyłała do północnych tajg, nie rozstrzeliwała. Kto był owymi „wrogami“? Każdy, kto kiedyś coś posiadał, bądź to dom, bądź przedsiębiorstwo jakieś, każdy też, kto pracował w dawnych urzędach carskich, każdy, kto chciał żyć życiem indywidualnym w ciszy swego domowego ogniska, stroniąc od koszarowego życia współczesności sowieckiej, każdy, kto stojąc w nie kończącym się ogonku przy zakupie produktów spożywczych miał odwagę zgrzytnąć zębami z niecierpliwości — każdy kwalifikował się jako wróg ustroju sowieckiego, każdy był kandydatem na uwięzienie.

Potem na etapach więziennych, a później jeszcze w obozie sołowieckim spotykałem wielu ludzi, którzy na pytanie, za co są skazani, odpowiadali krótko: „jestem w o j k o w i e c“. Ten wyraz „wojkowiec“ tłumaczył wszystko. To znaczy, że winy w danym wypadku doszukiwać się próżno, że był zaaresztowany w okresie teroru, rozszalałego po zabójstwie pełnomocnika sowieckiego i dziś pokutuje w kazamatach jako „współwinowajca“ Kowerdy.

Katastrofa pod Mińskiem.

W tymże okresie czasu stał się drugi wypadek, który jeszcze bardziej rozwścieczył gepistów (GPU). Na torze kolejowym między pograniczną stacją Stołpce a Miń-

skiem wykoleiła się auto-drezyna, którą jechał wiceprezes mińskiego GPU, Opański, naczelnik jednego z wydziałów tejże instytucji, Korytow i in., wioząc ze sobą schwytanego na granicy rzekomego szpiega polskiego. Wskutek katastrofy Opański i szofer ponieśli śmierć na miejscu, Korytow został ranny, zaś pograniczna zdobycz — szpieg uciekł.

Prasa sowiecka przyczynę katastrofy komentowała jako dzieło rąk zamachowców, po mieście jednak krążyły pogłoski (które przedostały się i do nas za kraty), że istotną przyczyną katastrofy była niepomierna szybkość jazdy, rozwinięta na skutek zarządzenia pijanego Opańskiego.

W tym też okresie czasu nadszedł dla mnie z Moskwy wyrok GPU, skazujący mnie na zamknięcie w obozie koncentracyjnym na wyspach Sołowieckich na dziesięć lat.

Etapem.

Jako przeznaczonego na etap, przeprowadzono mnie do innego więzienia t. zw. Dopru, gdzie po raz pierwszy spotkałem się we wspólnej celi z elementem kryminalnym. Wszyscy byliśmy przeznaczeni na wywiezienie na wyspy Morza Białego.

Więźniowie polityczni skupieni w jednej celi ze zbrodniarzami kryminalnymi przeżywali, zawdzięczając takiemu sąsiedztwu, chwile bardzo niemiłe: złodzieje nie tylko okradali nas w nocy, lecz i w dzień czuli się gospodarzami w celi, i grożąc nożem, rabowali mienie „frajerów", t. zn. więźniów politycznych. Skargi przed

władzą więzienną nie tylko nie odnosiły żadnego skutku, lecz ponadto skarżący się bywał narażony na krwawą zemstę.

Nareszcie po dwóch tygodniach przebywania w Doprze ruszyliśmy etapem na miejsce przeznaczenia.

Uszykowani przed bramą więzienną, z tobołkami na plecach, otoczeni konwojem, po raz pierwszy usłyszeliśmy sakramentalną przestrogę dowódcy konwoju:

„Iść środkiem ulicy, nie rozmawiać, nie rozglądać się na boki, momentalnie spełniać wszystkie polecenia. Przy próbie ucieczki każdego czeka, bez uprzedzenia, kula w łeb".

Ruszyliśmy na dworzec kolejowy. Okratowane wagony. Znów ciasno i duszno. Pierwszy przystanek etapowy — Orsza — parotygodniowy pobyt znów ze złodziejami i zbójami, potem Witebsk — dłuższy pobyt w takich samych warunkach, dalej — Leningrad (Petersburg), i stamtąd już bezpośrednio na miejsce przeznaczenia: do obozu sołowieckiego, który w skrócie sowieckim nazywał się „Słon" (sołowieckije łagiera osobawo naznaczenja — obozy sołowieckie o specjalnym przeznaczeniu).

Była już zima.



Tłum przed sklepem żywnościowym jest zjawiskiem, któremu w Z. S. R. R. nikt się nie dziwi.



Ziemianka. W takich to „apartamentach", w których nie ma wilgoci tylko w ciągu pełnego lata — gnieździ się ciągle jeszcze wiele tysięcy sowieckich rodzin robotniczych.

WYSPA POPOWSKA.

Przybycie do obozu.

Po trzech dobach podróży z Leningradu pociąg wolno się zbliżał do stacji Kiemi, murmańskiego węzła kolei żelaznej.

Co tam nas czeka? Jakie warunki? Praca? Lecz jaka praca? Czy będziemy w więzieniu pod kluczem, czy będziemy mieli możność swobodnego poruszania się?

Nikt z nas nic nie wiedział.

Przez okna widzieliśmy jakieś składy drzewa, stosy ułożonych desek — produkcja znajdujących się gdzieś w pobliżu tartaków, jakieś postacie w szarym stroju. Czy to są nasi przyszli towarzysze — katorżnicy?

Pociąg stanął. Komenda: wychodzić z wagonów! Dźwigając na plecach tobołki, wychodzimy na tor kolejowy.

Ostry północny wicher kręci śniegiem.

Poranek.

Prowadzą nas. Dwa kilometry drogi. Druty kolczaste. Szare niebo. Szare morze, zlewające się z niebem na szarym horyzoncie. Drewniane szopy. To baraki, to nasze przyszłe mieszkanie. Jesteśmy na tzw. wyspie Popowskiej, połączonej z lądem tamą. Wiatr, kręcący kurzawę śniegu, ogałaca skalny grunt, pozbawiony wszelkich śladów roślinności.

Wprowadzają nas do jakiegoś czworoboku przed jednym z baraków, otoczonego drutem kolczastym. U bramy budka szyldwacha. Rzeczy kazano złożyć pod ścianą budynku. Rozlega się wojskowa komenda:

— Od prawego odlicz!

Nie idzie to nam zbyt dobrze. Dzwoniąc zębami z zimna, wykrzykujemy ochrypłymi głosami:

— Pierwszy!

— Drugi!

— Trzeci! itd.

— Źle! Z początku — jeszcze raz: pierwszy! drugi! trzeci!...

Pouczają nas, że na powitanie: „Zdrawstwuj, karantinnaja rota!" (Cześć, drużyno na kwarantannie) — winniśmy odpowiedzieć zgodnie, jak jeden mąż:

— Zdra!!!

Wykrzykujemy owe: „Zdra!" Źle! Jeszcze raz. Źle! — niezgodnie, — ktoś się spóźnił. Znów: „zdra!" Znów źle. Ktoś wrzasnął za wcześnie. Okazuje się, że po wysłuchaniu powitania należy nabrać w płuca powietrza, wytrzymać dwusekundową pauzę, a dopiero wtedy...

Jeszcze raz. Jeszcze źle. A potem znów: odlicz! A potem znów: zdra! Nogi skostniały od zimna. Uszy marzną. Twarze brodatych chłopów pokryły się soplami lodu. Tobołki nasze zniknęły już pod warstwą wciąż padającego śniegu. Nasi instruktorzy zmieniają się kolejno: jedni idą do baraku się ogrzać, inni zastępują ich miejsce.

Zjawia się wyższa „władza" — starosta obozu, również więzień. Pozdrawia:

— Zdrawstwuj, karantinnaja rota!
— Zdra!!!
Źle! Za to przez pół godziny bez przerwy kazano nam wrzeszczeć: zdra! Niektórzy zachrypli. Krzyczymy owe „zdra“ nieludzkimi głosami, by nareszcie zadowolić swych przełożonych. Wciąż źle. Widocznie chodzi nie o jakość, lecz o ilość owego „zdra“.
Potem wygłoszono srogie przemówienie, w których zaznaczono, iż jesteśmy w obozie, gdzie pierwszym obowiązkiem każdego z nas będzie sumienna praca, gdzie uchylanie się od takowej będzie surowo karane, gdzie należy bezkrytycznie spełniać zarządzenia władzy itp. więzienne komunały.
A potem — znów „zdra“, znów „odlicz“! — i tak do wieczora.

W baraku.

Nareszcie przemarzniętym, wygłodzonym i przemęczonym pozwolono wygrzebać ze śniegu swe rzeczy i wejść do baraku.
Stłoczona masa ludzka pędem rzuciła się do lokalu, zajmując miejsca na pryczach. Pomimo to, że prycze były piętrowe, miejsc nie starczyło. Komendant i jego pomocnicy (wszyscy również więźniowie) interweniują: układają nas ciasno, jednego przy drugim, pomagają sobie kopnięciami opornych butem. Leżymy bokiem, nie mogąc się poruszyć. Obrócenie się na drugi bok może być dokonane tylko wspólnie, po porozumieniu się z najbliższymi sąsiadami.

Niektórzy pospełzali z pryczy i, grzejąc się przy żelaznych piecykach, ogrzewających szopę, konsumowali przywiezione ze sobą produkty. — Wszyscy tęsknili do wrzątku (gorąca woda), lecz wrzątek dostaliśmy nierychło i w zbyt ograniczonej ilości, gdyż wyspa Popowska nie posiada własnej wody, przywożą ją w beczkach z odległej o dziesięć kilometrów Kiemi. Za czajnik wrzątku płacono po kilka rubli, co w r. 1928 stanowiło poważną kwotę.

Byliśmy tak zmęczeni, że wkrótce wszyscyśmy prawie usnęli na swych pryczach snem kamiennym.

Na robotę!

Wtem w nocy zbudzono nas: na robotę!

Co za licho! Na jaką robotę? Zrywamy się chyżo, bo kopnięcia nie szczędzą ociągających się. Wypędzają nas z baraku na śnieg. Jasna, mroźna, gwiaździsta noc polarna. Po niebie śmigają jakieś jasne obłoczki mgławicowe. Ginie jeden, wnet pojawia się w innym miejscu drugi.

To znów migają po niebie jakieś smugi świetlne. Zda się, że jesteśmy świadkami powstawania nowych światów. To niebo rozjaśnia zorza północna.

Idziemy torem kolejowym, po którego obu bokach wznoszą się śnieżne zaspy. W dali oczekują nas platformy towarowe, naładowane deskami. Dano nam za zadanie przesunąć je po torze kolejowym o parę kilometrów w stronę stacji. Wczepieni jak mrówki w koła, w bufory, w wystające deski pchamy przed siebie ciężkie platformy. Ktoś ze świeżego nasypu runął pod koła.

Krzyk rozdziera powietrze, potem przekleństwa, potem znów cisza, wśród której słychać tylko ciężki oddech naprężających swe mięśnie kilkudziesięciu ludzi.

Ten, co runął z nasypu pod koła platformy, szczęśliwie wyłazi z pod nóg posuwających się towarzyszy.

Otrzepuje śnieg z odzieży.

— No, ty tam! Nie zostawać! Doganiaj!

Nazajutrz przybyli do naszego baraku lekarze (więźniowie) celem zbadania nas pod względem zdolności do pracy fizycznej i podzielenia na odnośne kategorie. Staliśmy półobnażeni, oczekując swej kolei. Pomimo to, że oględziny lekarskie odbywały się z nadzwyczajną szybkością, procedura powyższa, ze względu na pokaźną ilość więźniów, zajęła pół dnia. A w nocy — nie zważając na kategorie — znów wszyscy do przesuwania na torze kolejowym naładowanych wagonów.

Łaźnia.

Pewnego dnia popędzono nas do łaźni. Tam wydano nam po dwa małe szafliki ciepłej wody: jeden morskiej, drugi — rzecznej i po kawałku mydła. To nam powinno było starczyć. Ci, co nie wiedzieli, że ilość wody jest ściśle ograniczona, nie mogli zmyć z siebie mydła. Wszystko się odbywało w niepomiernej ciasnocie z towarzyszeniem nieodmiennych przekleństw rosyjskich.

Dalsza podróż.

Po dwóch tygodniach owej „kwarantanny" w zawszonych i zapluskwionych barakach kilkudziesięciu więźniów

popędzono z tłomokami na dworzec kolejowy. W ich liczbie był i piszący te słowa.

Pociągiem przybyliśmy do miasteczka Soroka, skąd dalej ruszyliśmy piechotą, zdążając ku wyspie Miah, odległej od Soroki o 85 kilometrów.

Było nas czterdziestu dwóch więźniów. Konwój składał się z trzech żołnierzy. Długim szeregiem, gęsiego, rozciągał się nasz pochód. Przodem ruszyli młodzi i silniejsi, spiesząc, by co prędzej dotrzeć do upragnionego popasu we wsi karelskiej, dalej jechały sanie, naładowane naszymi tłomokami i kuferkami, następnie szedł konwój, a w końcu — niepilnowani przez nikogo, bez żadnego dozoru sunęli ci, którym najciężej dawała się podróż na piechotę wśród śniegów północy: starcy, chorzy, inwalidzi, opierając się na kiju, odpoczywając co parę kilometrów, wycierając zmarzniętą rękawicą spocone — pomimo mrozu — czoło.

Sioła karelskie.

Sioła (duże wsie) karelskie są oddalone jedno od drugiego mniej więcej o trzydzieści kilometrów. Jest to przestrzeń, którą winniśmy byli przebyć w ciągu dnia, by znaleźć nocleg pod dachem rybackim. Ludność bowiem tutejsza składa się przeważnie z rybaków. Chleb, jarzyny nawet — są to produkty importu, naturalne bogactwa kraju — to ryby, których morze Białe dostarcza w obfitości. Chłopi karelscy w owe czasy byli zamożni, bowiem nie znali jeszcze kołchozów. Duże, liczące parę tysięcy nieraz mieszkańców, sioła były za-

budowane piętrowymi, drewnianymi domkami, niebielonymi coprawda, lecz czysto utrzymanymi, oszalowanymi deskami, krytymi gontem. Paromiesięczny letni połów ryb pozwalał im na długie zimowe wywczasy, pieniądze bowiem za sprzedane ryby wystarczały na wszystko najniezbędniejsze, czego surowa przyroda północy nie mogła dać tamtejszym mieszkańcom.

Szedłem ostatni. Wszyscy towarzysze moi wraz z konwojem już dawno mnie wyprzedzili. Zresztą po co miałem się śpieszyć? By prędzej trafić przed ciepły piec w izbie karelskiej, gdzie czekają na mnie obojętne twarze spółtowarzyszy, obce oblicza gospodarzy i wrogie, podejrzliwe spojrzenia konwoju? Wolałem wolnym krokiem brnąć w śniegu samotny, marząc o utraconej wolności, a nie śmiąc marzyć o jej odzyskaniu.

Myśl o ucieczce — w tych warunkach myśl nie realna, ani chwili nie powstała w mej głowie. Przypuszczam, że u mych towarzyszy również. Przed nami i poza nami tylko jedna jedyna drożyna, ubita przejeżdżającymi od czasu do czasu saniami, z lewej i prawej strony lasy pokryte śniegami nie do przebycia, sięgającymi człowiekowi po pierś, gdzie uciekinier, gdyby się nawet ważył na nierozważny krok, pozostawiłby po sobie ślad, po którym z łatwością byłby dognany i schwytany. Ucieczka ubitą drogą dałaby te same rezultaty, gdyż bez paszportu, bez pieniędzy więzień w pierwszej wsi karelskiej zostałby ujęty przez chłopów i oddany w ręce władzy, bo za głowę pojmanego więźnia płacono dwa pudy białej pszennej mąki. Aczkolwiek działo się to w czasie rządów NEP'u, gdy biała mąka w Związku Republik Sowieckich nie była tak wielką atrakcją, jak w chwili obecnej,

pomimo to jednak i na tamte czasy owa nagroda uważana była za hojną.

Cisza. Milczy las północny w zimie. Czasem na białym tle śniegu coś się poruszy — to białe kuropatwy północne, słabo się odznaczające na śnieżnej bieli, szukają żeru, błyskając swymi czerwonymi, jak korale oczkami. Odważne ptaki zbliżają się ku samej prawie drodze, jakby wiedząc, że tych czterdziestu dwóch, co przeszli przed chwilą rozciągniętym szeregiem, to nie myśliwi, lecz również zwierzyna, którą upolowali agenci GPU, rywalizujący między sobą, o dostarczenie jak najobfitszej zdobyczy.

„Miecz rewolucji".

Cała Rosja żyje pod znakiem współzawodnictwa socjalistycznego i „udarniczestwa" — wyścigu pracy. Każdy robotnik, każdy urzędnik, każdy, kto pracuje w jakimkolwiek kolektywie, winien jest wytwarzać nie tyle, ile wymagają od niego bezpośrednie jego obowiązki, lecz znacznie więcej. Owa nadwyżka pracy nosi pozornie charakter dobrowolny, stwarza ją rzekomy entuzjazm „mas" — w istocie zaś jest inicjowana z góry i „aprobowana jednomyślnie" przez steroryzowane masy. I wszyscy wszędzie pracują w jakimś szalonym tempie. Że w owym wyścigu pracy cierpi jakość produkcji — nie ulega to żadnej wątpliwości.

Tak też pracują i agenci GPU — instytucji, którą bolszewicy nazywają dumnym mianem „miecz rewolucji". Pracują, rywalizując między sobą, kto z nich załatwi

więcej spraw politycznych, który z nich będzie miał na swym sumieniu więcej złamanych istnień ludzkich. Byle więcej, byle srożej, byle bezlitośniej; litość bowiem w społeczności gepistów (czekistów) traktowana jest nie jako dodatnia cecha charakteru ludzkiego, lecz — wręcz przeciwnie — jako wada, jako burżuazyjne dziedzictwo.

Na jednej z głównych ulic Moskwy (Łubianka Nr 2) wznosi się olbrzymi gmach, w którym zarówno w dzień, jak i w nocy panuje ciągłe ożywienie. Auta zajeżdżają i odjeżdżają, w podwórzu dyżuruje kilka gotowych do startu samochodów, Gmach ten znałem dobrze z opowiadań współwięźniów, którym los okrutny kazał zwiedzić ową współczesną Bastylię. Jest to serce terroru sowieckiego — wzbudzająca postrach wśród obywateli rosyjskich groźna instytucja OGPU. (Objedinionnoje Gosudarstwiennoje Politiczeskoje Uprawlenje" (Główny Państwowy Urząd Polityczny).

W labiryncie korytarzy mieści się nieskończony szereg drzwi numerowanych, za którymi zasiadają ci, co wyrokują o losach swych ofiar. Stąd — z Łubianki Nr 2 — GPU swoimi mackami potwornego polipa, zrodzonego przez rewolucję, wyrosłego na ciele nieszczęśliwych ludów Związku Sowieckich Republik, obejmuje szóstą część globu, sięga dalej — poprzez kopce graniczne, poprzez morza, rzeki, oceany — wszędzie, gdzie się zaczyna jakaś ruchawka rewolucyjna, wszędzie gdzie śmierć swe żniwo rozpoczyna, wszędzie, gdzie ludy broczą krwią.

A w piwnicach tej złowróżbnej kamienicy przy Łubiance Nr 2 panuje straszna cisza — przedsmak ciszy wieczystej, z którą ma się zapoznać wielu z tam przeby-

wających. Po korytarzach, wysłanych miękkimi chodnikami, chodzą dozorcy-gepiści w wojłokowych pantoflach, głuszących całkowicie odgłos kroków. Dźwięków mowy ludzkiej tutaj nie słychać, jeno od czasu do czasu rozlegają się suche klaśnięcia palcami, co oznacza, że „droga jest wolna". Prowadzony bowiem przez korytarz więzień nie powinien się spotykać z towarzyszem niewoli, konwój więc klaśnięciem zawiadamia wartę stojącą w korytarzu, że prowadzi uwięzionego, warta zaś odpowiada w tenże sposób, zawiadamiając dalsze posterunki.

Gdy kogoś biorą z celi na badanie lub „na zawsze", odbywa się procedura pełna tajemniczości. Drzwi się otwierają i agent szeptem zapytuje zgromadzonych w celi więźniów, czyje nazwisko rozpoczyna się od takiej a takiej litery. Dalej znów szeptem rozpoczyna się indagacja co do imienia danej osoby, oraz imienia jego ojca. Nareszcie rozlega się tajemniczo wyszeptane „pożałujtie so mnoj!" (proszę ze mną!) — i znów cisza, przerywana tylko sygnałem potrzaskiwania palcami.

Cichym szeptem porozumiewają się ze sobą ludzie, rzuceni do piwnic przy Łubiance Nr 2, starając się odgadnąć, jaki los im gotują krwawi „upołnomoczenyje" (sędziowie śledczy) — panowie życia i śmierci swych ofiar, „rozentuzjazmowani udarniczestwem i socjalistyczną rywalizacją".

Dla mnie kolegium OGPU zgotowało los zesłania do obozu sołowieckiego na dziesięć lat, tzn. oderwanie mnie od życia na zawsze. Po odbyciu bowiem wymierzonej mi kary miałbym wędrować na wygnanie do tundry Pieczorskiej lub do kraju Narymskiego i po kilku latach

pobytu na wygnaniu w najlepszym razie — tj. jeżeli tam nie umarłbym z głodu lub nie zostałbym ponownie aresztowany — pozwolono by mi zmienić miejsce pobytu, przenosząc do okręgów z nieco łagodniejszym klimatem, lecz do ojczyzny — na Białoruś — nie pozwolono by mi wrócić nigdy.

Nigdy!

Nie usłyszę już klekotania bocianów nad strzechą, ani pieśni wracających z pola żniwiarzy, ani przecudnego śpiewu po zachodzie słońca żab białoruskich w naszych jeziorach...

Rechot żab.

Gdy tak ponuro rozmyślałem, wlokąc się w ogonie pochodu katorżnego, nagle drgnąłem... Ogarnęło mnie przerażenie, strach mistyczny niemal...

Usłyszałem głosy naszych żab białoruskich...

Las karelski stał po obu stronach drogi spowity śniegiem zimowym, Białoruś daleko o tysiąc kilometrów, a ja tu, pod 65 stopniem szerokości geograficznej wyraźnie słyszę rytmiczne brzmienie żabiego koncertu.

Przystanąłem.

Byłem pewny, że doznaję halucynacji. Głosy ucichły. Zapaliłem fajkę, otarłem pot przerażenia z czoła i ruszyłem dalej, opierając się o swój kij wędrowny...

Śpiew żabi znów zaczął rozbrzmiewać.

Znów przystanąłem, nie mogąc wytłumaczyć sobie dziwnego zjawiska. Śpiew ustał. Starając się dociec przyczyny dziwnych głosów, zauważyłem, że gdy przystawałem, śpiew zamilkał, gdy zaś kontynuowałem po-

dróż — rozlegał się na nowo. Zacząłem więc szukać przyczyny w pobliżu siebie i teraz dopiero zauważyłem, że mój kij wędrowny, zagłębiając się za każdym krokiem w suchym zmarzłym śniegu przydrożnym, wydawał te dziwne dźwięki, ogromnie przypominające „kumkanie" żab po zachodzie słońca...

Ostatni popas wypadł w Koleżmie, miasteczku położonym na brzegu morza Białego. Stąd już mieliśmy nazajutrz ruszyć po przez zamarznięte morze na odległą o dziesięć kilometrów od brzegu wyspę Miah.

W Koleżmie takie same obojętne przyjęcie u rybaków karelskich, którzy już oswoili się z przemarszami więźniów, gnanych na północ. Tak samo byliśmy rozlokowani w kilku chatach, konwój osobno, nikt bowiem nie wątpił, że zamiar ucieczki nie powstanie u żadnego z nas w głowie.

WYSPA MIAH.

Pierwszy dzień.

Nazajutrz przybyliśmy na wyspę Miah. Mała wysepka, licząca zaledwie dziesięć kilometrów średnicy, posiadała na brzegu, do któregośmy się zbliżali, sześć baraków mieszkalnych, poza tym stajnie, łaźnię, pralnię, suszarnię odzieży, budynek mieszkalny administracji.

Ulokowano nas w jednym z baraków. Ciasno tutaj było niemal tak samo jak na kwarantannie w Kiemi. Pośrodku stał piec z gliny, którego rury wychodziły na zewnątrz przez jedną ze ścian, nad piecem wisiała mała naftowa lampka z rozbitym szkiełkiem, rzucająca słabe światełko na nasze nowe mieszkanie. W tym zabrudzonym, ciemnym, zawszonym i zapluskwionym lokalu z przekleństwami i krzykiem zdobywaliśmy dla siebie miejsce na pryczach, zmęczeni, zmarznięci.

Tegoż dnia wieczorem rozdano nam odzież do pracy: watowane spodnie, takież kurtki, czapki, rękawice i walenki (buty wojłokowe). Wszystko to było mocno zszargane, brudne, łatane.

Nazajutrz ruszyliśmy na robotę. Na pierwszy dzień wyznaczono nam, jak powiadano, „lżejszą“ robotę, polegającą na udeptywaniu śniegu, by utorować drogę dla sań, podążających do lasu po wyrąbane drzewo. — Uszykowani rzędami, czwórkami, brnęliśmy w śniegu,

sięgającym pierwszemu szeregowi powyżej pasa. Oczywiście następnym szeregom już łatwiej było borykać się ze śnieżnymi zaspami. Toteż szeregi się zmieniały: po pewnym czasie pierwszy szedł na miejsce ostatniego itd.

Tego dnia nasz dzień roboczy wynosił zaledwie około siedmiu godzin, lecz wróciliśmy do baraków po owej „lżejszej“ robocie — siedmiogodzinnym przemarszu w zaspach śnieżnych tak zmęczeni, że z trwogą myśleliśmy o czekającej nas w najbliższej przyszłości „ciężkiej“ robocie.

Nazajutrz rozpoczęliśmy już pracę w charakterze drwalów...

Na robocie.

Godzina 3 w nocy. Rozlega się dźwięk dzwonu, budzącego obóz ze snu. Dyżurni przynoszą z suszarni „walenki“ i in. części ubrania, które przemoczone śniegiem podczas poprzedniego dnia pracy, wymagało suszenia. Wśród wrzasków, wyzwisk i przekleństw przy małym świetle lampki naftowej grzebią się postacie ludzkie w stosach rzuconej na podłogę odzieży, szukając swego ubrania. Ci, którym się już udało odnaleźć wszystkie części swej garderoby, biegną z miską do kuchni po śniadanie. Szybko się zjada poranny posiłek, bo rychło się rozlegnie powtórne uderzenie dzwonu, kiedy trzeba będzie stawać na podwórku do apelu. Ktoś na górnej pryczy rozlał jakiś płyn. Ciecz spływa na głowę i do miski sąsiada z dołu. Znów przekleństwa, krzyk, bójka. Wspólne nieszczęście zamiast łączyć ludzi, rozłącza, budząc złość, wściekłość, nienawiść.

Rozlega się drugie uderzenie w dzwon. Wszyscy wybiegają z baraku. Niektórzy chwytają na podwórku śnieg w dłonie i nacierają sobie ręce i twarz. Jest to ranna tualeta więźnia. Lecz większość tego nie czyni. — Wystarcza im łaźnia dwa razy na miesiąc. Na podwórzu przy świetle latarek odbywa się nocny apel. Wychodzi ze swego mieszkania naczelnik obozu.

— Witajcie, kompanie robocze!

— Zdra! — odpowiadamy chórem zgodnie.

Następuje rozdawanie narzędzi pracy: pił, siekier, łopat. Ruszamy. Dziesiętnicy na nartach prowadzą swych robotników do lasu na miejsce robót. Za nimi, również na nartach, posuwa się konwój. Idziemy gęsiego, jeden za drugim, po wąskiej wydeptanej w śniegu ścieżynie. Doganiają nas sanie przeznaczone do wywozu drzewa. Piechury ustępują z drogi, waląc się w śnieg po pas. Sanie przeleciały chyżo, lecz nikt nie próbował nawet schwycić za nie, gdyż jazda dla więźniów, z wyjątkiem woźniców i dziesiętników, jest surowo wzbroniona.

Szliśmy piechotą na miejsce robót, odległe nieraz o dziesięć kilometrów, gdyż położone na przeciwległym krańcu wyspy.

Staje się coraz widniej. Po szarej północnej nocy rozpoczyna się również szary, lecz nieco widniejszy północny dzień.

Więźniowie zajmują przeznaczony na wyrąb odcinek lasu. Dzielą się na trójki. Każda taka trójka spiera się z inną o lepsze miejsce, tj. gdzie drzewa rosną gęściej. Zaczyna się praca. Głosy ludzkie milkną. Słychać tylko głosy pił i siekier. Co chwila rozlega się odgłos walącej się jodły. Na razie trzask tracącego równowagę drzewa,

potem szum zahaczających o sąsiednie konary gałęzi, wreszcie huk padającej na śnieg jodły.

Czasem rozlega się krzyk ludzki: to ktoś nieostrożny nie zdążył w porę usunąć się na bok. Drzewo runęło nań, przygniatając go swym ciężarem...

Robota była akordowa. Na akord na trójkę dawano do zwalenia — pierwszej kategorii, silniejszym. 65 drzew, drugiej zaś kategorii, tj. słabszym — 45, które następnie trzeba było uciąć do określonej długości, poobrąbywać gałęzie, złożyć je na kupę, powycinać okoliczne, zawadzające dojazdowi sań, pomniejsze drzewa i krzewy. Spiłowywać drzewo należało przy samym pniu, a ponieważ śnieg dosięgał nieraz piersi ludzkich, należało śnieg rozkopać i udeptać, by dotrzeć piłą prawie do samej ziemi.

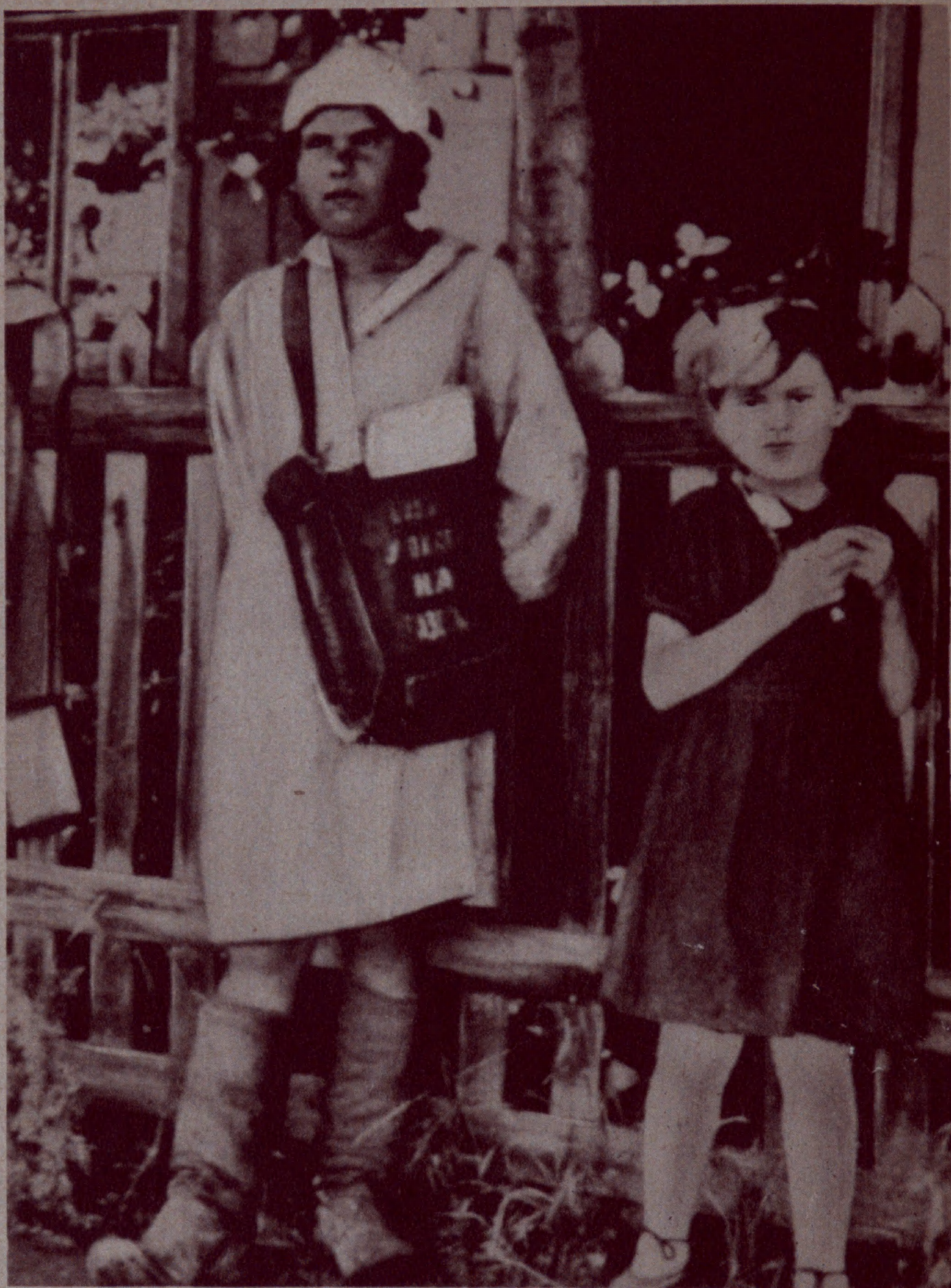
Byli wśród nas ludzie młodzi, zdrowi, zawodowi drwale. Ci robotę swą wykonywali z łatwością. Jednak procent takich robotników był nader znikomy. Ogromną większość natomiast stanowili ludzie, którzy po raz pierwszy w życiu pracowali na robotach leśnych. Do tych ostatnich należeli przedstawiciele zawodów inteligenckich, kryminaliści różnego autoramentu, oraz chłopi ukraińscy, którym w ich stepowej ojczyźnie nie zdarzało się pracować przy wyrębie lasu.

Ponad siły.

Powrót z robót zaczynał się dość wcześnie — około godziny 1-ej po południu. To wracały trójki, składające się z zawodowych drwali. Przed wejściem do baraku



Tak się jeździ od rana do nocy tramwajami miejskimi w Moskwie.



Kobieta-pocztylion na stacji kolejowej Irkuck.

musieli okazać dozorcy przepustkę, stwierdzającą, iż zadana praca została wykonana. Potem wracali kolejno inni. Ostatnie trójki wracały około północy, pozostawało więc im, po zjedzeniu pozostawionego dla nich w kuchni obiadu, 2—3 godziny snu — do następnego dnia pracy! Ci, co nie mogli wykonać zadania na ostatni termin, pozostawiani byli w lesie celem ukończenia roboty. Zwykle codziennie w lesie pozostawało na noc do pięciu takich zalegających z robotą trójek. Opodal spoczywał dozorca przy ognisku, do którego jednak więźniowi nie wolno było się zbliżyć. Z rana przynoszono mu zmniejszoną rację chleba (400 g) i musiał kontynuować robotę — wypełniając już zadanie dnia następnego.

Rzecz oczywista, że w takich warunkach więzień wciąż więcej i więcej zalegał w robocie, aż w końcu, po paru spędzonych bez snu w lesie nocach, gdy już nie miał sił ustać na nogach, odprowadzany był do „karceru" (aresztu) — ażurowej nieopalanej budy, stojącej na skraju wyspy u samego brzegu morza, gdzie wiatr hulał poprzez szpary w ścianie tak jak i na dworze.

Zaleganie z wykonaniem akordowej pracy było nie na rękę zarówno dozorcom jak i dziesiętnikom. Dzięki zalegającym w pracy musieli dłużej przebywać w lesie zarówno jedni jak i drudzy. Ponadto konwój musiał spędzać w lesie całą noc u ogniska, pilnując pracujących w nocy. Toteż konwój, by przynaglić opieszałych lub osłabłych z wycieńczenia, posługiwał się kolbami karabinów, dziesiętnicy zaś zwyczajnym kijem zwanym na katordze „drynem". Bito bez litości zarówno symulujących niezdolność do pracy tzw. „fiłonów", jak też

i upadających pod ciężarem pracy, chorych, wycieńczonych. Gdy jeden z więźniów padł pewnego razu bezsilny na śnieg i leżał bez ruchu, dozorcy ze słowami: „no! na taki kawał nas nie weźmiesz!“ katowali go dotąd, aż jeden z nich zauważył:

— Patrzcie — no! Wszak on się nie rusza.

Istotnie nieszczęśliwy już się nie poruszył, gdyż był martwy.

Należy zaznaczyć, że zarówno konwój jak i dziesiętnicy składali się również z więźniów. Ten tryb postępowania miał oczywiście na celu zasłużenie się przed władzą i uzyskanie pewnych ulg, względnie zmniejszenie terminu uwięzienia.

Jako karę za różne przewinienia, przeważnie za niesubordynację, stosowano rozbieranie winnych do bielizny i stawiano ich na mrozie na pół godziny i dłużej.

„Samoruby“.

W jednej z izb barakowych był tzw. „okołodok“ tj. ambulatorium dla przychodzących chorych. W razie pojawienia się obłożnie chorych tam też stawiano tapczany i lokowano nieszczęśników. Na czele tej instytucji stał „lekpom“, tj. felczer. Jaka była jego wiedza medyczna — wyrokować trudno. Medykamenty, którymi rozporządzał składały się z jakichś proszków różowego koloru i dwóch rodzajów płynów. Były to środki wewnętrzne. Była też jodyna i jakieś szmaty, zastępujące bandaże. Codziennie przed wyjściem na roboty, po uderzeniu pierwszego dzwonu, przed drzwiami „ambu-

latorium" stała kolejka chorych, pragnących otrzymać zwolnienie od pracy. Zwolnienie i to na jeden dzień otrzymywało się jedynie przy stwierdzeniu gorączki — co najmniej 38 stopni. Bóle reumatyczne (dość częste) lub inne choroby, przy których temperatura była normalna, nie zwalniały od pracy.

Doprowadzeni do rozpaczy ludzie dostawali pewnego rodzaju psychozy, która stawała się epidemiczna. Niezdolny do wykonania zadanej mu pracy, a wiedząc, co mu za to grozi, więzień w przystępie szału bezsilnej wściekłości kładł na pniu swą lewą rękę i obcinał siekierą palce, które rzucał w twarz dozorcy lub dziesiętnikowi, krzycząc: „Masz, potrzebne wam moje ręce robocze, więc sam czynię siebie niezdolnym do pracy". Zdarzały się wypadki, że szaleńcy odrąbywali całą kiść lewej ręki. W lesie przy robocie nie było pomocy lekarskiej nawet takiej, jaką mieliśmy w obozie, w barakach. Toteż broczący krwią więzień własnymi szmatami od swej bielizny przywiązywał ranę i wracał do obozu.

Ponieważ wracający z lasu winien posiadać przepustkę, dziesiętnik na ciężkim klocu drzewa, z którego toporem ścięto korę, wypisywał przepustkę ołówkiem chemicznym, i ranny, dźwigając na ramieniu ów kloc - przepustkę wracał do obozu, mdlejąc z bólu, zmęczenia i upływu krwi.

Olbrzymia większość owych, jak ich zwano „samorubów", ginęła od zakażenia.

Strajk.

Dni odpoczynku bywały co drugą niedzielę, tj. dwa razy na miesiąc. Lecz i owa „niedziela odpoczynku"

nie była całkowicie wolna od pracy. W dni odpoczynku bowiem wykonywano roboty obozowe, więc: wywożenie na brzeg morza nagromadzonego na terenie obozu śniegu, czyszczenie ustępów itp. Były to jednak roboty o wiele lżejsze od leśnych i przy zgodnym wysiłku wszystkich kończyły się dość wcześnie.

Lecz oto upłynęła jedna z takich niedziel, które bywają wolne od pracy, a administracja pognała wszystkich na roboty do lasu. Zaczęło się ciche szemranie. Gdy po dwóch tygodniach znów odgłosem dzwonu zbudzono nas o godz. 3 w nocy i uszykowano na podwórku do apelu, co oznaczało, że i teraz dnia wolnego mieć nie będziemy, — po szeregach przeleciały jakieś tajemnicze szepty, jakieś porozumienia oczyma, widać było z zachowania się tych majaczących przy świetle latarek cieniów jakąś powziętą już decyzję.

Większość więźniów na wyspie Miah stanowili kryminaliści — zbóje, złodzieje, aferzyści — i tylko zaledwie czwarta część składała się z tzw. „kaerów", tj. kontr-rewolucjonistów, chłopów — „kułaków" (zamożniejszych włościan) i inteligencji.

Strajk został uchwalony przez więźniów kryminalnych. Ci ostatni z kontr-rewolucjonistami nie chcieli się liczyć. Ich była większość, zresztą kryminaliści nigdy się nie liczą z politycznymi, mając ich za ludzi pośledniejszego gatunku i zowiąc ich w swym języku złodziejskim „frajerami".

Gdy przystąpiono do rozdawania narzędzi pracy, głuchy pomruk przeszedł po szeregach: „Nie pójdziemy!" Nie pomogły żadne perswazje. Gdy wszyscy solidarnie odmówili wzięcia narzędzi, rozległa się komenda:

„w prawo zwrot!“ i rozkazano ruszać do lasu. Z złowróżbnym pomrukiem więźniowie ruszyli drożyną, wiodącą z obozu na miejsce robót. W ślad za nami podążały sanie, naładowane piłami i toporami. Kilku uzbrojonych w karabiny dozorców zamykało pochód.

W odległości 2—3 kilometrów od obozu na skraju lasu kazano nam stanąć. Z niepokojem zatrzymaliśmy się, nie wiedząc, co nam gotują. Już wśród więźniów politycznych rozpoczęły się ciche narady, szepty na temat, czyby nie warto zaniechać oporu. Rozumiano bowiem dobrze, że w razie rozdmuchania sprawy, cała odpowiedzialność spadnie na nich, kontr-rewolucjonistów, ich będą winili za inicjatywę strajku, ich będą rozstrzeliwali za stawiany w obozie sprzeciw, kryminaliści zaś będą traktowani jako bierna masa, która rzekomo uległa agitacji kontr-rewolucyjnej. Ten i ów z politycznych chętnieby poszedł do pracy, by nie ściągać na siebie represyj, lecz wstyd wobec stanowczej postawy towarzyszy-kryminalistów pchał ich razem z innymi na drogę oporu.

Wystąpił kierujący robotami starszy dziesiętnik i donośnym głosem zawołał:

„Kto pójdzie do pracy — brać narzędzia i przechodzić na prawo, kto nie chce pracować — cofać się w lewo i... rozbierać się!“

Z pochylonymi głowami, nie śmiąc podnieść oczu, jeden za drugim wychodzili z tłumu więźniowie polityczni, brali za siekiery i piły i przechodzili na prawo. Z pogardliwym skrzywieniem ust patrzyli na nich spodełba kryminaliści, rzucając z siebie na śnieg kurtki, spodnie, czapki, obuwie — i stając tylko w bieliźnie.

Łamistrajki ruszyli dalej do lasu, zziębnięte zaś postacie złodziei i opryszków dygotały na mrozie, śląc w ślad za odchodzącymi „frajerami“, którzy ich zdradzili, przekleństwa i wyzwiska.

Dziwna ironia losu, dziwne przewartościowanie walorów! Polityczni łamią strajk i pokornie idą do pracy, kryminaliści zaś mężnie obstają przy swoim do ostatka!

Czy możliwa byłaby podobna scena w dawnej katordze carskiej?

W dawnej katordze kontyngent więźniów politycznych składał się z istotnych aktywnych wrogów istniejącego ustroju. Tutaj zaś tak zw. „polityczni“ stanowili różnorodną zbieraninę, która nie walczyła i nawet nigdy nie miała zamiaru walczyć z ustrojem sowieckim, trafiła zaś tutaj, na katorgę, tylko jako należąca dawniej do klasy posiadającej, którą dziś „zwycięski proletariat“ pragnie wyniszczyć fizycznie, zsyłając do więzień, obozów, na zesłanie.

W dawnej katordze więźniowie polityczni w podobnych warunkach porwaliby za nagromadzone na saniach siekiery i roztrzaskaliby nimi łby swych ciemięzców — tutaj zaś dłonie niewolników pokornie wyciągały się po siekiery, by wykonać w lesie swój „akord“, tak jak w parę dni później też same dłonie przyjmowały... 20 kopiejkową (sic!) nagrodę za „wydajną pracę“ w ów dzień krytyczny, nagrodę, wydaną z funduszów GPU...

Wikt.

W owe czasy karmiono nas stosunkowo nieźle: na śniadanie otrzymywaliśmy miseczkę fasoli, soczewicy,

grochu, kaszy gryczanej lub gęstej zupy z makaronem. Takie danie było zwykle okraszone olejem. Na obiad zaś, który dla wielu zapóźnionych stanowił kolację, dawano nam miskę barszczu lub jakiejś zupy oraz kawałeczek gotowanego mięsa solonego, trochę większy od pudełka zapałek. Chleba (czarnego) otrzymywaliśmy po kilogramie na osobę. Ponadto w obozie był sklepik, gdzie za własne pieniądze mogliśmy kupować cukier, herbatę, konserwy, kiełbasę, śledzie, herbatniki, bułki, papierosy itp. Pieniędzy za pracę naszą nam nie płacono (z wyjątkiem wspomnianych wyżej 20 kopiejek nagrody za złamanie strajku), ci więc, którzy nie otrzymywali pomocy pieniężnej z domu, musieli się zadawalać wiktem rządowym, który — należy to przyznać — głód zaspokoić był w stanie.

Podczas pracy w lesie dokuczało nam w pierwszych dniach silne pragnienie. Woda, którąśmy brali ze sobą w butelkach, zamarzała w kieszeni. Po kilku dniach jednak przyzwyczailiśmy się do braku wody i pragnienie w czasie pracy nam nie dokuczało.

Woda, wskutek właściwości gruntu, była zawsze żółta, koloru mocnej herbaty, o przykrym zgniłym smaku. Po pewnym czasie przyzwyczailiśmy się jednak i do niej.

Do czego się człowiek nie przyzwyczai?!

Niefortunna ucieczka.

Noc. Na dolnych i górnych pryczach sterczą szeregi bosych nóg. Brudne, cuchnące, wykrzywione, poprzeplatane z nogami sąsiadów. W powietrzu kwaśna woń potu ludzkiego i innych jeszcze bardziej wstrętnych

odorów. Pod pułapem kopci mała lampka naftowa. Szkło od lampy dawno już zostało stłuczone i odsłonięty knot zaraża powietrze wonią palącej się nafty. Ciszę przerywa chrapanie spracowanych ludzi, czasem jęk wydobywa się z piersi, którą gniecie sen koszmarny. Ustały przekleństwa, łajania, wyzwiska: sen pogodził i połączył w uścisku bratnim wszystkich. Uzbek z Turkiestanu objął przez sen swą dawno nie mytą ręką szyję Jakuta. Ukrainiec spod Połtawy zarzucił swą cuchnącą nogę na brzuch Gruzina z Kaukazu. Od czasu do czasu ktoś się budzi, złazi z pryczy, naciąga na grzbiet jakieś łachy więzienne i wybiega na dwór dla załatwienia naturalnej potrzeby.

Czuwa jeden tylko dyżurny.

Niedołężni, inwalidzi, ludzie, którzy o własnych siłach z trudem mogliby dowlec się do lasu na robotę, pozostawieni byli w obozie i pełnili obowiązki sług w barakach, sprzątali, odnosili do suszarni przemoczone ubranie więźniów, palili w piecach. Poza tym do zakresu ich obowiązków wchodziło zważanie, by w nocy wszyscy więźniowie byli obecni w baraku. Zwali się oni „dniewalni" — dyżurni.

„Dniewalny" pilnie śledzi za wychodzącymi i wracającymi. Co pewien czas robi obchód wzdłuż prycz i oblicza sterczące nogi. Gdy liczbę nóg rozdzieli przez połowę — otrzyma ilość więźniów, znajdujących się w baraku. Liczy. Myli się. Rachunek się nie zgadza. Znów rozpoczyna od początku. Nogi się poplątały. W jednym miejscu jedna noga zbyteczna, w drugim — jednej brak. Dniewalny zdejmuje z haka lampkę i oświetlając najciemniejsze kąty, rozpoczyna na nowo swe obliczenia.

Wtem otwierają się z hałasem drzwi. Fala mroźnego powietrza runęła przez otwarte drzwi, w których ukazała się jakaś postać w wojskowym ubraniu; to nocna kontrola. Wchodzi z latarką jeden z żołnierzy konwojowych. Zaczyna się obliczanie sterczących nóg. Jednej pary nóg brak, — jednego więźnia nie ma w baraku.

Zaczyna się rachunek powtórny.

Jednego więźnia jednak brak.

Gdzie się podział? W ustępie nie ma. Dniewalny ma minę strapioną: będzie odpowiadał. Jeszcze raz obliczają, szukają, zaglądają pod dolne prycze.

Nie ma!

Uciekł!

Alarm.

W koszarach straży dozorczej powstaje ruch. Zrywają się ze swych tapczanów zaspane postacie żołnierzy. Klną. Pospiesznie się ubierają. Chwytają karabiny i narty. Zbudzono już naczelnika. Naczelnik wściekły. Wydał rozkaz: nie brać żywcem, lecz zastrzelić. Strzelać w plecy, by były pozory postrzału, zadanego w pogoni. Zadanie to nie jest trudne: wszak goniący wszyscy na nartach, a zbieg brnie pieszo po głębokim śniegu. A jedna tylko jest droga ucieczki — lodem przez morze na Koleżmę.

W niespełna parę godzin zbiega dognano i według rozkazu zastrzelono. Nad ranem przybyły sanie po trupa. Nazajutrz w pobliżu obozu, na skraju lasu, pogrzebano niefortunnego uciekiniera. W obecności jednego z żołnierzy kierował procedurą pogrzebu „lekpom“ — felczer — największa u nas powaga medyczna.

On określił potrzebną głębokość rowu mogilnego, on dysponował, w którą stronę skierować głowę trupa, złożonego w ad hoc zbitej z desek skrzyni.

Rów kopali dniewalni.

Ani słowa współczucia, ani nastroju powagi, jaka zwykła towarzyszyć odprowadzaniu człowieka na wieczny spoczynek. Drwiny, kpiny, wyzwiska, przekleństwa — jakby ten więzień grzebany nie był niedawnym towarzyszem niewoli, lecz wrogiem najgorszym...

Nazwisko zabitego — Szulc.

Odjazd na Sołówki.

W końcu kwietnia śniegi zaczęły topnieć. Wyrąb lasu ustał. Spieszono się, aby na gwałt wywieźć z lasu nagromadzone kłody na tzw. „rum". Spieszono się, nim jeszcze trwała sanna.

W końcu maja lody na morzu Białym zaczęły czernieć, tając, wreszcie stopniały. Więźniowie, stojąc powyżej kolan w lodowatej wodzie, zbijali tratwy, które miały być holowane parowcem do Archangielska.

Dnia 29 maja przybył do nas pierwszy statek. Nad ranem ujrzeliśmy o pół kilometra od brzegu stojący na falach mały stateczek, typu łamacza lodów. Była to „Newa", która w trzy lata później w drodze z Archangielska na Sołówki zatonęła na Białym Morzu w tajemniczy sposób wraz z całą załogą. Zdołał uratować się tylko jeden więzień-marynarz, którego znaleziono na jednej z wysp, lecz o przyczynach katastrofy nie mógł on dać żadnych informacyj, tym bardziej, że wskutek wstrząsu nerwowego, wywołanego katastrofą, postradał zmysły.

W oka mgnieniu rozniosła się po obozie radosna dla wielu nowina, mianowicie mówiono, że skazanych na 10 lat wywiozą „Newą“ na Sołówki.

Wszyscy wierzyli, że na wyspie Sołowieckiej znajdziemy znośniejsze warunki życia. Mówiono, że tam można otrzymać pracę według swojej specjalności, że dzień roboczy jest tam normowany ilością godzin pracy od 8 do 10-ciu i o tym podobnych ulgach, do których wzdychaliśmy z tęsknotą.

Wszyscy byli podnieceni. Nastrój panował gorączkowy. Każdy śpieszył się, aby likwidować swe sprawy na wyspie Miah. Jeden oddawał zaciągnięty dług, inny znów wyegzekwowywał pożyczone komuś pieniądze, przyjaciele, którzy mieli niebawem rozstać się, może na zawsze, gwarzyli po raz ostatni przed rozłąką.

A na falach kołysał się mały stateczek gotowy do podróży. Z komina snuła się smuga dymu, kotły parowe gotowe były każdej chwili uruchomić naszą wybawicielkę — „Newę“.

Istotnie wieczorem komendant obozu obchodził baraki, odczytywał nazwiska osób, przeznaczonych do translokacji na Sołówki i kazał szykować się do podróży.

Wieczorem zaczęto nas łodziami podwozić ku statkowi. Zerwał się wiatr. Morze było burzliwe. Łodzie rzucało na falach jak łupiny orzechów. Nastąpiła „biała“ północna noc. Słońce na chwilę skryło się za horyzontem, by potem znów wypłynąć nad morzem prawie w tym samym miejscu, gdzie zachodziło. Ale przewóz pasażerów na statek jeszcze nie jest skończony. Próżne łodzie wracają ku brzegowi posłuszne dwom parom mu-

skularnych rąk wioślarzy, i znów się ładuje na nie kilkunastu katorżników z oczami błyszczącymi nadzieją.

Nadzieją?! Jaką? Nadzieją wolności? — Nie! Tylko nadzieją nieco znośniejszych, niż na Miahu, warunków życia...

Zaczął się odpływ morza. Łodzie grzęzły na mieliznach lub na kamieniach. Na rozkaz sternika wszyscy skoczyli z łódki do morza i pogrążeni po pas w wodzie, spychali łódź na głębsze miejsce...

Nareszcie ostatnia łódź przybiła do statku z resztkami pasażerów. — Zawarczały śruby, komin plunął gęstymi błębami dymu i „Newa", miotana falami, poniosła nas ku nieznanym, a tak upragnionym Sołówkom.

Przemoknięci, szczękając zębami z zimna, tuląc się do swych nagromadzonych na pokładzie statku tłumoków, płynęliśmy przez wzburzone majowym wichrem Białe Morze. Co pewien czas fala, przelewając się przez pokład, zalewała nasze rzeczy i nas, przemokniętych już dostatecznie podczas holowania łodzi.

SOŁÓWKI.

Nowe warunki życia.

Nad ranem ujrzeliśmy wyspę z piętrzącymi się na niej sylwetami wieżyc cerkiewnych: zbliżaliśmy się ku tajemniczym Sołówkom. Lawirując między gęsto usianymi, pomniejszymi wyspami, „Newa" wpłynęła do portu.

Umieszczono nas w 13-ej kompanii, znajdującej się w dawnym preobrażeńskim soborze (kościół prawosławny), który podzielony jest w tym celu na 3 piętra. Ulokowaliśmy się wprost na podłodze, gdyż prycz dla nas nie starczyło. Nazajutrz całą przybyłą z Miahu grupę więźniów, z małymi wyjątkami, pognano na jezioro Pert — znów na roboty leśne. Do liczby tych szczęśliwych wyjątków należał piszący te słowa.

Wyspa Sołówki ma od 17 do 28 km średnicy. Gęsto zadrzewiona cherlawym lasem z jodły i brzozy, posiada około 500 jezior, obfitujących w ryby. Niektóre z jezior za czasów, gdy na wyspie był klasztor prawosławny, zostały przez mnichów połączone małymi kanałami, tworząc w ten sposób wodną komunikację na przestrzeni całej wyspy. Poza tym Sołówki posiadały wąskotorową kolejkę, łączącą ze sobą różne punkty wyspy.

Krajobraz malowniczy, szczególnie jesienią, gdy drzewa liściaste przystroją się w złote barwy, świecąc jasnymi plamami na tle jodłowej zieleni.

Łowienie ryb w jeziorach sołowieckich więźniom jest surowo wzbronione, gdyż w jeziorach bolszewicy hodują ondatrę, rodzaj dużego szczura, którego szaro-srebrzyste futro bardzo się ceni. Ondatry żyją w wodzie jak bobry i łacno chwytają za haczyk, zarzucony na rybę.

Ośrodkiem życia sołowieckiego jest tzw. „Kreml", tj. kompleks budynków poklasztornych, otoczonych dokoła grubym murem. Dawne cerkwie, sobory, cele mnichów — wszystko przerobione jest na kazamaty, w których pomieszczeni są więźniowie. Z pięciu prowadzących do owej fortecy bram jedna tylko otwarta jest dla więźniów, gdzie w dzień i w nocy stoi warta, wpuszczając i wypuszczając więźniów tylko za okazaniem przepustki, wydanej przez władzę.

Kreml wraz z otaczającymi go zabudowaniami tworzy rodzaj samowystarczalnego miasteczka, które obsługują różne niezbędne dla większego zbiorowiska ludzkiego instytucje. Jest więc tutaj garbarnia, założona jeszcze za czasów pobytu na wyspie mnichów, fabryka mechaniczna, zaopatrująca statki sołowieckie w niezbędne części metalowe, elektrownia, cegielnia, warsztaty krawieckie i szewckie, tartak, młyn, garncarnia, torfownia, gospodarstwo rolne, które ze względu na krótkie lato produkuje tylko kartofle, kapustę, rzepę i marchew. Zboże nie dojrzewa. Na brzegach morza w barakach mieszkają rybacy, którzy zaopatrują personel administracyjny w świeżą rybę, a co najważniejsza — wyjeżdżają na połów znakomitych śledzi sołowieckich, które tutaj też solą, pakują do beczek i wysyłają. Śledzie bowiem sołowieckie są przeznaczone na

eksport. Jedynie wyższa administracja sołowiecka ma prawo do tych „smakołyków" — więźniom nie wolno.

Wszystkie te zakłady i przedsiębiorstwa obsługują wyłącznie więźniowie: więźniowie są inżynierami, agronomami, zarządzającymi, buchalterami, majstrami, robotnikami. Tutaj bowiem spotyka się przedstawicieli najrozmaitszych zawodów: profesorowie, artyści, inżynierowie, muzycy, lekarze, akrobaci, rolnicy, baletnice, robotnicy, księża, popi, mułłowie, oficerowie dawnej armii rosyjskiej, sądownicy z carskich czasów, a obok nich — złodzieje, zbóje, aferzyści najrozmaitszego rodzaju, prostytutki, czekiści, łapownicy itp.

Mało tego: większa część dozoru składa się z więźniów. Zaledwie kilkadziesiąt osób stanowi tzw. nadzór wolny, tj. składający się z osób nieuwięzionych. Reszta — to byli czekiści lub bolszewicy wojskowi, którzy, będąc przysłani za różne przestępstwa do obozu, pełnią tu funkcje, odpowiadające ich specjalności. Tak samo jak nadzór wolny uzbrojeni są w karabiny, tak samo ubrani w długie sowieckie szynele z tą tylko różnicą, że na kołnierzu zamiast czerwonej odznaki noszą czarną. I, trzeba przyznać, że ci niewolni dozorcy byli srożsi, bardziej wymagający i znacznie mniej humanitarni w stosunku do swoich uwięzionych towarzyszy, niż dozorcy wolni. Bo na Sołówkach zaprowadzono tego rodzaju system, że każdy, kto posiadał jakąkolwiek władzę, gnębił swoich podwładnych: dziesiętnik był bez litości dla zwykłego robotnika, zarządzający przedsiębiorstwem był postrachem dla wszystkich podległych mu pracowników. Każdy starał się zasłużyć, przypodobać zwierzchności, uzyskać jakieś ulgi, bądź to w postaci

zezwolenia na mieszkanie w jakiejś komórce przy swym przedsiębiorstwie zamiast ogólnej, zapluskwionej celi kompanii, lub pozwolenia na nabycie jakichś produktów spożywczych, lub, co najważniejsze — trafienia na listę tych, którym skracano termin kary.

Zmniejszenie kary.

Co roku, w jesieni, przyjeżdżała na Sołówki komisja z Moskwy, składająca się z dygnitarzy GPU z Glebem Bokim, opiekunem obozu sołowieckiego, na czele. Komisja parę dni polowała w lasach sołowieckich, wieczorami bankietowała, wreszcie podpisywała listę więźniów, którym skracano karę o pół roku, o rok, czasem nawet o dwa. Lista owa już z góry była przygotowana przez miejscową władzę, to też nic dziwnego, że każdy chciał się wysunąć na widoczne miejsce, przypodobać się swej władzy, zyskać jej sympatie, by trafić następnie na ową wymarzoną listę.

Pomimo jednak tego systemu napędzania do pracy i wyzyskiwania siły ludzkiej do ostatecznych granic — robota nie dawała pożądanych rezultatów. Zawsze coś się nie udawało. To pracownia obuwia nie wykonała przewidzianych w planie robót obstalunków, to cegielnia zawiodła, to znów tartak zalegał z wykonaniem włożonego nań zadania itp. Oczywiście, w takich razach odpowiadają za niewykonanie planu stojący na odpowiedzialnych stanowiskach więźniowie i — niedawny potentat — zdegradowany bywa do roli zwykłego robotnika lub — co gorsze — trafia do karnej kompanii.



Kontrola na dworcu granicznym.



Drogi w Z. S. R. R. bynajmniej nie ułatwiają komunikacji.

W roku 1928 na wyspie sołowieckiej było z górą 10.000 uwięzionych. Wśród tej licznej rzeszy więźniów spotykaliśmy przedstawicieli najrozmaitszych narodowości, wchodzących i nie wchodzących w skład Z. S. R. R. Od Jakutów o spłaszczonej twarzy do synów Kaukazu o orlich nosach, od Finów do Uzbeków, od Niemców do Chińczyków. Spotkałem dość dużo Węgrów. Po rewolucji węgierskiej młodzież (komsomoł węgierski) zamieszana w akcji rewolucyjnej, masowo emigrowała do Rosji. Po paru jednak latach pobytu w Sowietach, zapragnęła powrócić do kraju, przekładając parę lat więzienia w swym państwie „kapitalistycznym", niż „wolność" w państwie budującego się socjalizmu. Nie tylko nie pozwolono im wrócić do Węgier, lecz zaaresztowano, oskarżono o... szpiegostwo i zesłano na 10 lat na Sołówki. Zbyt dużo bowiem wiedzieli prawdy o państwie Sowietów, mieli autorytet wśród mas robotniczych w swojej ojczyźnie, mogliby przynieść szkodę akcji komunistycznej na Węgrzech.

Kobieta na Sołówkach.

Wśród wielojęzycznej, kilkutysięcznej masy przygnanych z różnych krańców Europy i Azji na wyspę sołowiecką więźniów znajduje się 17—18 proc. kobiet. Zarówno jak mężczyźni, rekrutują się z najrozmaitszych narodowości i klas społecznych. Polki, Ukrainki, Białorusinki, Finki, Baszkirki, Jakutki, Gruzinki, Ormianki, Węgierki, Niemki itd.

Od złodziejki do damy dworu, od prostytutki do mniszki — wszystkie szczeble drabiny społecznej mają

tutaj swoje reprezentantki. Ta masa obdartych, również jak mężczyźni owszonych kobiet mieści się w oddzielnym baraku, który nosi nazwę „żen roty“ (kobiecej kompanii). Tutaj panuje ten sam co u mężczyzn rygor więzienny, tak samo kobieta — komendant (więzień) posiada swój uniform — czarne klapy na „buszłacie“ z odpowiednimi blaszanymi naszywkami.

Pomimo to, że kobiety spotykały się z mężczyznami na robotach, w kancelariach, na torfowiskach itp. — wszelkie towarzyskie obcowanie mężczyzn z kobietami było surowo zakazane. Karano nie tylko za stosunki miłosne, lecz za niewinną rozmowę przy spotkaniu, za zamienienie paru słów ze sobą, wreszcie za zwykłe powitanie przy spotkaniu. Karano przeważnie aresztem 14-dniowym.

Pomimo to jednak kwitła prostytucja. Zbyt mały odsetek kobiet był w obozie, a zbyt wielki był na nie popyt — oprzeć się pokusie było trudno. Złodzieje kradli, więźniowie, mający w obozie odpowiedzialne stanowiska, czynili sprzeniewierzenia — i wszyscy nieśli swą daninę na ołtarz „miłości“.

Kobiety, nie uprawiające prostytucji na szerszą skalę, miały po kilku kochanków. Każdy z nich niósł swej bohdance, co mógł. Piekarz kradł chleb z piekarni, niepalący oddawał swą rację tytoniową, zarządzający sklepikiem wynosił pokryjomu wodę kolońską lub parę pończoch, tamten garść cukru, zaoszczędzonego z racyj żywnościowych, inny znów dzielił się otrzymaną od żony z wolności przesyłką żywnościową.

Bardzo często przywożono na Sołówki młode małżeństwa. Małżeństwa oczywiście separowano: ją zamy-

kano w „żen-rocie", jego zaś przydzielano do jednej z kompanii męskich lub wręcz wysyłano na inną wyspę. Jeśli małżonkowie znajdowali się nawet na jednej i tej samej wyspie, spotkania były im najsurowiej wzbronione. Jeżeli kobieta była młoda i ładna wnet znajdywała wielbiciela spośród więźniów, posiadających władzę, którzy czasem byli przełożonymi jej własnego męża. Od nich zależało posłać nieszczęśliwego męża na takie roboty, gdzie łatwo mógł ducha wyzionąć, kobieta zaś była zdana na łaskę i nie łaskę różnych „zawów" — (zarządzających), „naczów" (naczelników) i in. ubiegających się o jej względy potentatów.

Opierać się było zbyt trudno...

Za miejsca spotkań latem służyły zarośla lasu sołowieckiego, w zimie najrozmaitsze ubikacje — kryjówki, odnajmywane ad hoc od tych, którzy z urzędu swego mieli do nich dostęp. A więc woźnice przyjmowali „zakochane" pary w stajniach na słomie, stróż nocny ustępował za opłatą swą budkę stróżowską, rekwizytor teatralny, udzielał azylu w rekwizytorni. Zdarzało się, że kobieta-komendant „żen-roty" nieraz powierzonym jej pieczy kobietom ułatwiała spotkania z mężczyznami, ciągnąc stąd oczywiście zyski. Bywały wypadki, że pomysłowi i odważni mężczyźni przez okna „żen-roty" przedostawali się do wnętrza lokalu, by tam spędzić noc u boku swej „ukochanej"... na wspólnych pryczach, ryzykując, że nocny patrol złapie zakochanych... in flagranti.

Obok prostytucji kwitło również sutenerstwo. To bynajmniej nie znaczy, że sutener był opiekunem i obrońcą

swej żywicielki — przed kim lub przed czym miałby ją bronić i w jaki sposób? — lecz był wprost potrzebą jej serca.

Mając kilku kochanków czyli, jak ich nazywano językiem sołowieckim „chachałów", którzy bądź nieśli jakieś dary żywnościowe lub pieniężne, bądź protegowali kobietę, ułatwiając jej otrzymanie lżejszej pracy — kobieta potrzebowała jednocześnie mężczyzny, któremu mogłaby się oddać zupełnie bezinteresownie, z którym pragnęła podzielić się troskami swego życia codziennego, wypłakać tragedię ofiary, rzuconej na pastwę szakali. Takiego pocieszyciela — wobec znacznej przewagi mężczyzn — znaleźć było nie trudno, i z tym wybrańcem swojego serca dzieliła się kobieta tym, co otrzymała od przygodnych chachałów za dostarczone im uciechy miłosne.

Więcej jeszcze...

Tu pióro moje na chwilę się wstrzymuje. Boję się, że czytelnik nie uwierzy to, co opiszę — do tego stopnia to jest potworne. A jednak jest to fakt i wcale nie pojedyńczy.

Kobiety, posiadające niemowlęta, otrzymywały dodatkowy „pajok" (rację żywnościową) na dziecko w postaci nieznacznej ilości cukru, trochę mleka, kawałka szarego chleba. Otóż kobiety oddawały swym „chachałom" ową otrzymaną dla dziecka rację żywnościową, a niemowlę... żuło przez cały dzień umaczany w ślinie matki okruch czarnego chleba.

Dla dzieci starszych ponad jeden rok był urządzony w osobnym, schludnym domku w lesie przytułek. O ile pozwalały warunki, władza sowiecka starała się pie-

lęgnować dzieci należycie. Spośród uwięzionych kobiet rekrutował się etat nianiek, których pieczy powierzono maleństwa. Władza często zaglądała do przytułku i dozorowała, by nie działa się dzieciom krzywda. Gdy sytuacja żywnościowa na Sołówkach była nieco lepsza, karmiono dzieci ryżem, mlekiem, dawano dostateczną ilość cukru, kuchnię zaopatrywano nawet w białą, pszenną mąkę. Dziś jednak aprowizacja obozu o tyle zmieniła się na gorsze, że wikt dziecięcy mało się różni od wiktu dla dorosłych, którego główną składową częścią jest solona ryba.

Zdarzało się, że kobieta ograniczała się do stosunku z jednym mężczyzną. Charakterystyczną cechą tych związków była jednak ich krótkotrwałość. Gdy wiadomość o takim stosunku dochodziła do uszu władzy, parę taką zwykle separowano, ją albo jego przenosząc na inną wyspę. Parę łez przy rozstaniu (najczęściej na zawsze!) i — on znajdywał inną pocieszycielkę, ona innego „chachała".

„Żen-rota" zajmowała piętrowy drewniany gmach poza murami „Kremlu" na skraju cmentarza. W latach 1927—30 egzekucje odbywały się zwykle o zmroku na cmentarzu. Wówczas mieszkanki „żen-roty" gasiły w swoim baraku wszystkie światła i przez okna przyglądały się odbywającej przy świetle latarek na cmentarzu egzekucji.

Pewnego razu (r. 1930) wśród przyprowadzonych na śmierć był ex-czekista S., „chachał" pani P., były zarządzający robotami leśnymi na Sołówkach, którego skazano na rozstrzelanie za nadużycia służbowe. Pani P.

(nawiasem mówiąc, przed rewolucją — żona milionera, fabrykanta rosyjskiego) przez okno swej celi wraz z towarzyszkami przyglądała się odbywającej się w pobliżu egzekucji. Oczywiście — szlochy, spazmy, omdlenie, cucenia...

W dwa tygodnie potem pani P. pocieszyła się po stracie. Nowy „zaw" zastąpił swego poprzednika.

Żywot cnotliwy pędzą jedynie ułomne, kalekie i stare baby.

Rozmnożona prostytucja pociąga za sobą znaczny wzrost liczby chorych wenerycznie. Osoby, stojące blisko spraw sanitarnych w obozie, twierdzą, że około 80 proc. kobiet choruje na różne przypadłości weneryczne, z tej liczby zaledwie połowa ucieka się do pomocy lekarskiej. Lecz pomijając to, brak środków leczniczych najbardziej stoi na przeszkodzie w walce z chorobami wenerycznymi.

Całe życie obozu toczy się pod znakiem ohydnego przekleństwa rosyjskiego. Klną, budząc się ze snu, klną idąc do pracy, wracając z pracy, klną wystając w kolejce w oczekiwaniu na obiad, klną ciesząc się, smucąc i klną w każdej okazji życia. Lecz takich wyrafinowanych przekleństw, jakie rozbrzmiewają między ścianami „żenroty", rzadko zdarza się słyszeć w męskich kompaniach. Kobieta zawsze i wszędzie odznacza się większą swarliwością niż mężczyzna, w przekleństwa swe wkłada pewne smakoszostwo, lubowanie się wyrazami, podczas gdy mężczyzna klnie, że tak powiem, bardziej odruchowo, nieświadomie, nie wnikając w treść wyplutego przekleństwa...

Element kryminalny wywiera na kobiety znacznie większy wpływ, niż na mężczyzn. Kobieta, przebywając na Sołówkach, deprawuje się znacznie prędzej, niż mężczyzna.

Cmentarz.

Wśród uwięzionych są, naturalnie, i lekarze. Ci zawaleni są pracą, gdyż na wyspie sołowieckiej olbrzymi procent więźniów to chorzy. Oprócz chorób wenerycznych chorują na szkorbut, gruźlicę, czyraki, (wrzody) nie licząc wybuchających od czasu do czasu epidemij tyfusu.

Codziennie o g. 5 rano otwiera się główna brama Kremlu i, w asyście dwóch sanitariuszy w białych chałatach i długich, czarnych, gumowych rękawicach, wyjeżdża wóz z władowaną na niego olbrzymią skrzynią. Skrzynia może pomieścić do 8 trupów. Grzebano na cmentarzu dawnym klasztornym w pobliżu murów Kremla, za żen-rotą. Tam zawsze była przyszykowana jama, zdolna zmieścić do 200 trupów. Tutaj sanitariusze wyrzucali ze skrzyni przywiezione zwłoki, przykrywając następnie jamę deskami. Deski nie przylegały zbyt szczelnie, więc w dzień można było doskonale dojrzeć leżące w jamie w nieładzie ciała mężczyzn i kobiet, starców i młodzieńców. Dopiero po należytym zapełnieniu jamy zasypywano ją ziemią.

Więźniowie nazywali owe jamy tak, jak żołnierze zwą na wojnie wspólne groby: „bratskija mogiły". W zimie owe „bratskija mogiły" nie zanieczyszczały

powietrza; ale nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak okropny fetor rozchodził się w około cmentarza latem.



Nikt dobrowolnie na tę przeklętą wyspę nie jedzie. Nie ma mowy oczywiście o więźniach, lecz mam na myśli wyższy, nie liczny personel administracyjny, tzw. ludzi wolnych. Są to gepiści, którzy za jakieś drobniejsze przewinienia służbowe zsyłani są na Sołówki w charakterze naczelników obozu i na inne wyższe stanowiska. Za przewinienia poważniejsze trafiają tutaj już w charakterze więźniów z terminem kary od 3 do 10 lat. Tutaj też pracują w swoim zawodzie, pełniąc różne funkcje w ISO.

ISO.

ISO — „inspiekcjonno-sledstwiennyj otdieł" — (oddział inspekcyjno-śledczy) — ma za zadanie badanie przestępstw popełnionych przez więźniów podczas odbywania kary, sporządzanie charakterystyk więźniów na podstawie tajnych donosów swych współpracowników. Jego kompetencji podlega również przeprowadzanie egzekucji, gdy Kolegium GPU w Moskwie, na podstawie przeprowadzonego dochodzenia przez ISO na miejscu w Sołówkach, uchwala wyrok śmierci.

Wszelkie większe przestępstwa, a do takich należą: usiłowania ucieczki, sabotaż itp. wpierw są badane przez agentów sołowieckiego ISO, a następnie sprawę skiero-

wuje się do decyzji moskiewskiego GPU. W języku sołowieckim to się nazywa „otrzymać centralnoje dieło" — i biada temu, czyją sprawę skierowano do Moskwy!

Jak w Sowietach życie na wolności, niby niewidzialną pajęczyną, omotane jest siecią „seksotów" („siekretnych sotrudnikow"-konfidentów), którzy węszą wszędzie, doszukując się kontr-rewolucji, gdzie każda instytucja, urząd, fabryka posiada w swych ścianach oczy i uszy GPU, gdzie często członkowie jednej rodziny obawiają się jeden drugiego tak tu, na Sołówkach, żadna kompania, żadne przedsiębiorstwo, żadna cela nawet nie jest wolna od obecności tajnego konfidenta ISO.

Ci co się modlą, modlą się w skrytości, ci co chcą uczynić sobie zwierzenia przyjacielskie, czynią to szeptem, oglądając się, by niepożądane ucho nie pochwyciło oddzielnych zdań i nie wysnuło z nich przy pomocy własnej fantazji jakiegoś oskarżenia. Jeżeli trafne jest przysłowie, że „ściany mają uszy", to nigdzie nie można zastosować go lepiej jak tutaj właśnie.

Izolator.

W razie wytoczenia komuś w obozie sprawy, oskarżony przenoszony bywa ze swej kompanii do tzw. izolatora. Jest to więzienie w więzieniu. W izolatorze nie wolno palić tytoniu, racja żywnościowa jest zmniejszona, więzień siedzi w celi zawsze samotny, zakratowane okna jego celi przysłonięte są z zewnątrz tarczami, by nie tylko pozbawić go możności komunikowania się ze światem zewnętrznym, lecz i światła słonecznego.

Nie wykluczone są też i znęcania się moralne. Polegają one na tym, że śpiącego w nocy budzą i zapytują go o nazwisko, następnie o imię, potem o imię ojca. Jest to procedura, która towarzyszy zwykle wyprowadzeniu więźnia na rozstrzelanie. Toteż indagowany, przypuszczając, że już wybiła ostatnia dlań godzina, zdławionym głosem odpowiada na stawiane mu pytania, a oprawca po oświadczeniu:

— No, śpijcie, tę noc jeszcze możecie spać spokojnie — oddala się z uśmiechem na ustach.

Egzekucje odbywają się przeważnie wieczorem. Na zarządzenie ISO ustaje wszelki ruch w obozie. Komendanci kompanii uważają, by nikt nie wychodził na zewnątrz. Zatrudnionych w przedsiębiorstwach nie wypuszczają poza mury gmachu. Urzędnicy ISO wkraczają do izolatora. Wyprowadzają skazańców w bieliźnie, związanych za ręce parami.

W obliczu śmierci.

Jak różnie zachowują się ludzie w obliczu śmierci! Indywidualność każdego przejawia się w tej chwili najbardziej jaskrawo. Jeden pada na kolana, skomli, chwyta swych oprawców za nogi: „towarzysze! zaczekajcie! jeszcze chwilę!" itp. Inny ze strasznymi przekleństwami, z oczami krwią nabiegłymi, rzuca się na konwój, lecz rychło po silnym uderzeniu pięścią w głowę traci swój animusz. Inny jeszcze drze się na całe gardło, wyśpiewując piosenki cyniczne, jakby usiłując własnym krzykiem zagłuszyć w sobie strach śmierci. Większość idzie bier-

nie, jak barany na rzeź prowadzone, nogi odmawiają im posłuszeństwa, mdleją, wloką ich pod ręce, by nie upadli i nie wstrzymywali pochodu skazańców.

Do r. 1929 rozstrzeliwano na cmentarzu przy świetle latarek. Skazańcy stawali nad brzegiem wykopanego dla nich dołu i tutaj jeden ze współpracowników ISO, często sam naczelnik tej instytucji, towarzysz Diechtierow, strzelał skazańcom w tył głowy z naganu.

Potem miejsce egzekucji zmieniono. Przy samym bowiem cmentarzu stał piętrowy gmach drewniany, w którym mieszkały uwięzione kobiety.

Władze uznały, że przyglądanie się egzekucjom jest niewskazane i przeniosły je do kamery dezynfekcyjnej, położonej w obrębie murów kremla sołowieckiego. Miało to tę dogodność, że w lochach kamery nie słychać było wystrzałów, ponadto było blisko od izolatora — kilkadziesiąt metrów przez plac. Po odbytej egzekucji przybywały wozy z sielchozu (gospodarstwo rolne) i przy pomocy zmobilizowanych w tym celu komendantów kompanii ładowano trupy i odwożono je za cmentarz do zawczasu przygotowanego dołu.

Później miejsce kaźni przeniesiono do odległej o 10 kilometrów od Kremlu miejscowości Sawatjewo i tam też urządzono kompanię karną, do której zamykano kandydatów na tamten świat.

Pewnego dnia wiosennego w roku 1929 rozeszła się po obozie szetpem z ust do ust powtarzana wiadomość, że w obozie aresztowano z górą 70 osób. Aresztowano ich rzekomo pod zarzutem zmowy, mającej na celu zawładnięcie jednym ze statków, kursujących między Sołówkami a lądem. Po paru miesiącach około 30 osób

zwolniono. Dowiedzieć się, co im zarzucano, jakie zadawano pytania, było niepodobna, gdyż po wyjściu z tak ciężkich opresyj milczeli zawzięcie. Zresztą rozgłaszanie tego, co się pyta sędzia śledczy i co mu się odpowiada, jest jak najsurowiej wzbronione. Jest to bezwzględną tajemnicą, która zostaje pogrzebana w stosach spraw ISO i w koszmarnym wspomnieniu tego, który wyszedł cało z ciężkiej przygody.

Płynęły miesiące i zapomnieliśmy o swych towarzyszach, zamkniętych w izolatorze. Gdy w tym pewnego jesiennego wieczora do koncertu powracających z żerowiska nad morzem mew wdarł się nowy, również nieprzyjemny, głos. Przed izolatorem stał pies i wyciągając mordę w stronę jednego z zakrytych tarczą okien, przeraźliwie wył.

Poznano go: był to pies jednego z uwięzionych w izolatorze, G-skiego.

Był to okres Nep'u, głodu jeszcze w obozie nie znaliśmy, to też ci, co mieszkali nie w ogólnych kompaniach, mogli sobie pozwolić na taki luksus, jak hodowanie psa. G-ski był zarządzającym jednego z przedsiębiorstw sołowieckich, przeto posiadał swój kąt mieszkalny przy przedsiębiorstwie i miał przy sobie czworonożnego przyjaciela.

Na owe psie wycie tyle tylko zwrócono uwagi, że psa odpędzono, zjawił się wnet nowy właściciciel i, wziąwszy go na smycz, pociągnął za sobą.

Tegoż wieczoru, w parę godzin później, — życie w obozie zamarło. Komendanci pilnowali swoich kompanii, by nikt nosa nie wysunął na ulicę, przy przedsiębiorstwach, gdzie trwała jeszcze praca, poustawiano

warty... A po pustych ulicach Kremla sołowieckiego prowadzono z izolatora więźniów na rozstrzelanie.

Pies, dzięki swemu szóstemu zmysłowi, wiedział zawczasu o losie swego pana i przybiegł na ostatnie pożegnanie.

Wyspa Kond.

W odległości 130 kilometrów od Sołówek znajduje się wyspa Kond. Aby pozbyć się kalek i innych całkowicie niezdolnych do pracy, wysyłano ich na tę właśnie wyspę. Należy zaznaczyć, że znaczny kontyngent kalek dawały roboty leśne, gdzie więźniowie bądź odmrażali sobie dolne kończyny, bądź dobrowolnie siebie okaleczali, ucinając sobie palce u rąk.

Wyspa Kond była również miejscem zesłania dla administracji sołowieckiej za różne przestępstwa, popełnione na terenie obozu.

Siekirka.

Drugim, o wiele straszniejszym miejscem kary za przestępstwa popełnione na katordze, była Siekirka. Jest to góra wznosząca się na północno-wschodnim brzegu wyspy sołowieckiej. Na szczycie tej góry znajduje się zbudowana przez mnichów cerkiew, obecnie służąca jako kazamaty dla więźniów.

Na najwyższym piętrze wieży cerkiewnej znajduje się latarnia morska, która utraciła obecnie swoje właściwe

znaczenie i służy tylko do obserwacji morza i ujawniania morskich ucieczek więźniów. Na szczęście, los pozwolił mi uniknąć zwiedzania tego strasznego miejsca, a znam je tylko z opowiadania mych towarzyszy, którzy odbywali tam karę.

Ogromny gmach b. cerkwi był podzielony na dwie części: parter i piętro. Na parterze osadzano za mniejsze przestępstwa, jako to: kradzieże, bójki itp. Więzień miał tutaj prawo zachować przy sobie pościel i ubranie. Kara, oprócz karnej racji żywnościowej polegała na tym, że lokal ten nie był opalany, czyli w zimie była to kara mrozu.

Różnica między parterem a piętrem była ta, że na górze więźniowie nie mieli prawa do pościeli i byli rozebrani do bielizny. Poza tym zamiast szyb w dawnych oknach były tylko druty kolczaste. Pobyt latem był tu zazwyczaj dłuższy, zimą — krótszy. Osadzano tu przeważnie oskarżonych o usiłowanie ucieczki i tzw. przestępców „politycznych".

Na pryczach na wpół nadzy leżą przytuleni do siebie skazańcy, drżąc z chłodu i głodu. Ponieważ układanie się obok siebie nie dawało dostatecznego ciepła, bowiem ciało marzło od góry i od dołu, więźniowie wynaleźli inny sposób wzajemnego się ogrzewania. Mianowicie tworzono tzw. „sztable", to jest kładziono się jedni na drugich wpoprzek paroma rzędami. Ci jednak, co byli w dolnym rzędzie, marzli od dołu, a ci, co w ostatnim górnym — od góry. By niesprawiedliwości nie było, rzędy się co pewien czas zmieniały: ci z dołu szli do środka itd.

W ten sposób ratowali się więźniowie od zamarznięcia, siedząc tu czasami po kilka dni, a nawet tygodni. — Zresztą „wychodziło się“ stąd albo do szpitala albo wprost na cmentarz.

„Żordoczka“.

Ponadto w samym Kremlu w jednej z baszt cerkiewnych mieliśmy miejsce kary, zwane „Żordoczka“. W nieopalanym tak jak na Siekirce, lokalu, więźniowie siedzieli na wysokich ławach. Nogi więźniów nie sięgały podłogi, lecz zwisały w powietrzu. W takiej pozycji, z rękami złożonymi na kolanach, ludzie siedzieli w ciągu całego dnia bez prawa porozumienia się z sąsiadem, bez prawa nawet poruszania głową. Przerwę stanowiło przyjmowanie posiłku (raz na dzień) i wyprowadzanie dla odbycia potrzeb naturalnych (dwa razy dziennie). Na wzniesieniu stała warta, która miała baczenie, by regulamin ciszy i nieporuszania się był ściśle przestrzegany.

W razie przewinienia, winnego związywano sznurami w ten sposób, że głową sięgał niemal kolan, i wrzucano do ciemnej, wilgotnej komórki na okres czasu do 3-ch godzin. Pobyt zaś na „żordoczce“ ogółem trwał nie dłużej ponad dwa tygodnie. Lecz i po tak krótkim okresie czasu więzień po odbyciu kary miał wygląd rekonwalescenta, który dopiero co wyszedł ze szpitala po odbyciu ciężkiej choroby.

Za mniejsze przestępstwa, tj. przestępstwa natury kryminalnej, pijaństwo itp. sadzano do karceru, gdzie

więźniowie pozbawieni byli pościeli i prycz i spali wszyscy na podłodze w okropnej ciasnocie. Głowa jednego spoczywała oparta na brudnych butach sąsiada, inny zmuszony był przerzucić swe nogi przez tułów drugiego. — było to nagromadzenie ciał ludzkich, rzuconych w nieładzie do cuchnącej celi. Oczywiście wikt gorszy niż w zwykłych kompaniach. Skazanych na karcer wyprowadzano na roboty.

Karę karceru (dwa tygodnie) odbyłem za to, że oddałem swemu sąsiadowi na pryczy, szewcowi z zawodu, buty do podzelowania, chcąc uniknąć zwykłego trybu postępowania — przez komendanta kompanii, co trwałoby dość długo. W formularzu moim do końca w odnośnej rubryce figurowało: był karany 2-tygodniowym karcerem za nielegalną reperację butów".

Dla kobiet jako miejsce szczególnej kary była przeznaczona wyspa tzw. „Zajczyki", gdzie warunki życia były bardzo zbliżone do Siekirki.

Złudne nadzieje.

Zdawałoby się, że wśród takich potwornych warunków egzystencji więźniowie powinni by popełniać masowo samobójstwa. Bezsilny człowiek, zdany na łaskę i niełaskę siepaczy, ma tylko jedno wyjście, jedną formę protestu: uwiązać sobie pętlę na szyi. Tak jednak nie jest. W czasie prawie siedmioletniego pobytu w katordze sowieckiej zdarzyły się tylko trzy wypadki samobójstwa: dwóch się powiesiło, jeden rzucił się pod pociąg. Wszyscy trzymają się życia gorączkowo. Im życie to jest okrop-



,,Bezprizornyje" zdobywają w śmietniku środki żywnościowe. Byle nie umrzeć z głodu.



Bezprizornyj, czyli bezdomne dziecko, których setki tysięcy jest plagą Rosji Sowieckiej. Dzieci takie stadami włóczą się po miastach, rabując kramy i przechodniów.

niejsze, tym więcej ono ma powabu; lepsze najgorsze życie niż — śmierć. Bo tu są jeszcze jednak jakieś nadzieje, dla których tam miejsca już nie ma. I żyją ludzie nadziejami, często dziecinnymi, złudnymi, które już wielokrotnie ich oszukały, a jednak wierzą.

Wierzą w amnestie, które nigdy nie dotyczą najbardziej na nie liczących, wierzą w odmianę kodeksu karnego, według którego największym wymiarem kary ma być rzekomo termin pięcioletni, wierzą w ogóle w zmianę polityki karnej Sowietów, a tymczasem rok za rokiem płynie nieskończona fala więźniów, kończy się jedna „piatiletka", zaczyna druga; odbywa się likwidacja klas społecznych, — a więc nowe tysiączne zastępy chłopów („kułaków") jadą do obozów koncentracyjnych, a naiwni wierzą złudnym nadziejom...

Humor kazamatów.

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że za kratą stale rozlega się jęk i zgrzytanie zębów, że beznadziejna rozpacz wyryta jest na twarzach uwięzionych, że dowcip, humor, beztroska piosenka nie rozlega się nigdy w miejscach kaźni. Człowiek tak prędko przystosowuje się do nowych, nienormalnych warunków życia, wrodzona człowiekowi potrzeba śmiechu tak bezwzględnie dopomina się o swoje prawa, że nawet ci, którym na jutro los gotuje uciążliwą wędrówkę etapem na wyspę sołowiecką, którzy wzięli na zawsze rozbrat z normalnym życiem, którzy nie ujrzą już nigdy swych bliskich, ci nawet, którzy jutro ze związanymi rękami i zakneblowa-

nymi ustami pojadą na miejsce kaźni, gdzie ich czeka kula naganu, dziś beztrosko nieraz sobie przyśpiewują.

Szczerym beztroskim humorem tchną słowa aforyzmu, który, powinien być wypisany nad więzieniem sowieckim:

Wchodiaszczyj — nie grusti,
uchodziaszczyj — nie radujsia.
(Wchodzący — niech się nie smuci,
Wychodzący — niech się nie cieszy).

Istotnie mało powodów do radości ma obywatel sowiecki, wychodząc z więzienia na „wolność", która jest też swego rodzaju więzieniem, gdzie myśl nie ma prawa śmielszego polotu, gdzie ludzkie życie nie może wyjść poza narzucony z góry szablon, gdzie na każdym kroku czyha nań czekista lub seksot („sekretnyj sotrudnik"), by dzięki fałszywemu doniesieniu znów wtrącić go do zapluskwionej celi na brudne prycze, by znów tam rozpoczynał swoją kalwarię na nowo.

— Obywatelu! Przyznajcie się, GPU wszak wszystko wie doskonale, pragniemy tylko, byście szczerym przyznaniem się do winy, ulżyli swemu losowi...

I ludzie z kroplami potu na czole, z szarpanymi od badań nerwami, z obłędnym ze strachu wzrokiem przyznają się do win nie popełnionych („by ulżyć swemu losowi"), a po powrocie z badania do celi wraz z innymi wpadają w humor szubieniczy, śpiewają, dowcipkują.

Więźniowie kryminalni, oczywiście, czują się w więzieniu o wiele lepiej od politycznych. Dla nich więzienie nie jest połączone z przeżyciami tragicznymi, lecz

jest jednym z etapów ich życia. Są też pełni humoru, który cechuje jakaś dzika chęć pastwienia się nad bliźnimi. Każdy żart lub zabawa połączona jest ze znęcaniem się fizycznym nad swoim towarzyszem. Dowcipu w tym mało.

Na przykład gra więzienna, tzw. „grzebanie baby", polega li tylko na tym, że jednego (ofiarę) kładą na podłodze, inni zaś biją go skręconymi ręcznikami. Gra „rower" polega na tym, że śpiącemu wkładają między palce nóg kawałki papieru i zapalają je. Ofiara pod wpływem bólu zaczyna odruchowo wykonywać nogami ruchy podobne do ruchów jadącego na rowerze cyklisty. Zdarza się nieraz, że ofiarę takiej zabawy wśród ogólnej wesołości odwożą, do szpitala z poparzonymi nogami. Gra pod nazwą „wybory starosty" jest bardziej skomplikowana. Jeden z uczestników obnaża swe ręce po łokcie, składa je w ten sposób, że łokcie stykają się ze sobą, a dłonie również. Pomiędzy złożone w ten sposób ręce wtykają mu papierowe zwinięte w tubkę „losy". „Wyborcom" kolejno zawiązują oczy, ręce zakładają za plecy i każdy z nich zbliża się do trzymającego „losy", starając się zębami wyciągnąć tubkę z zaciśniętych rąk. Oczywiście za każdym razem los jest pusty.

Gdy przychodzi kolej na „ofiarę" — rola trzymającego „losy" między obnażonymi rękami jest już skończona. Na jego miejsce szybko staje nowy uczestnik gry, obnażając... dolną część swego ciała. „Ofiara" z zawiązanymi oczami, nie przypuszczając podstępu, długo poszukuje ustami rzekomego „losu", aż wreszcie oczy jej odwiązują — i wtedy dopiero spostrzega, że... stała się ofiarą złośliwego żartu.

Jest cały szereg innych „zabaw“ podobnego rodzaju, lecz pióro moje zbyt jest nieudolne, by opisać je, nie obrażając wstydliwości czytelnika. Wolę przeto o nich zamilczeć.

Najczęściej obiektem tego rodzaju naigrywań są nowicjusze w więzieniu. I biada takiemu nowicjuszowi, jeżeli trafi do celi, gdzie większość stanowią kryminaliści. Będzie musiał kielich goryczy swego nowicjatu wysączyć do dna.

Sprawiedliwość wymaga zaznaczyć, że nieraz i więźniowie polityczni, tzw. ka-erzy, również przyjmują udział w takich „zabawach“.

Humor się przejawia i w swoistym przemianowaniu wyroku śmierci. Zamiast być skazanym na śmierć — w języku więziennym używa się określenia: pojechać na badanie do Dzierżyńskiego, lub: przejechać się na księżyc. W Mińsku mówiono: pojechać na Komarówkę (las pod Mińskiem) lub: otrzymać w darze 3 zołotniki (tyle bowiem waży kula naganu).

Nawet w obliczu tak wielkiej tajemnicy, jaką jest śmierć, humor szubieniczy szczerzy swe spróchniałe zęby. Humor czarownic średniowiecza, które z histerycznym śmiechem szły na stos...

* * *

Raz do roku, w jesieni przyjeżdżała na Sołówki komisja z Moskwy, składająca się z dygnitarzy OGPU, mająca za zadanie przeglądanie spraw, charakterystyk więźniów, zmniejszanie terminu kary.

Na program uroczystości, którymi fetowano komisję, składało się również przedstawienie w teatrze sołowieckim.

Literatów u nas też było nie brak. Literaci otrzymali zamówienie napisania na przyjęcie komisji specjalnego revue sołowieckiego.

W r. 1928 było wystawione na scenie teatru sołowieckiego revue pt. „Gienieralnaja powierka" (Apel generalny) pióra jednego z utalentowanych literatów, więzionych w obozie sołowieckim. Chociaż głównym tematem dowcipów autora było samobiczowanie się, to jest wystawianie w niekorzystnym świetle swych towarzyszy-więźniów politycznych, udało się autorowi przemycić i parę kupletów, ironicznie traktujących stosunki obozowe:

Oto przykład:

Choroszi po wiesnie komary,
Czudien wid ot Siekirnoj gory.
A ot raznych udarnych rabot
Zdorowiejet wiesołyj narod.

Refren:

Tiech, kto nagradił nas Sołowkami,
Prosim, pryjezżajtie siuda sami.
Posiditie zdzieś godoczkow tri il piat'
Budiete z wostorgom wspominat'...[1])

---

[1]) Miłe są komary na wiosnę,
Przepiękny jest widok z góry Siekirnej.
A od różnych robót udarnych,
Staje się zdrowszym lud wesoły.

Potentaci z GPU siedzieli w pierwszych rzędach i, słuchając dowcipów i słów kupletu, trzęśli brzuchami ze śmiechu.

A aktorzy, występujący przed „dostojną“ publicznością, mieli tylko jedną myśl: byle się przypodobać potentatom, byle zwrócić na siebie łaskawą uwagę, a może uda się otrzymać skreślenie choć jednego roku ciężkiej niewoli!

Niestety, w chwili, gdy się trzęsły od dobrotliwego śmiechu brzuchy tych, którzy „nagrodzili nas Sołówkami“, sprawa już była przesądzona, lista podpisana, losy rozstrzygnięte.

Ileż zawiedzonych nadziei, ileż rozczarowań!

A gdy statek wiózł komisję ku lądowi, w niejednej celi, w niejednej rocie powtarzano półgłosem usłyszany ze sceny śpiew:

Posiditie zdieś godoczkow tri il piat“ —
Budiete z wostorgom wspominat“...

Śpiewaliśmy, śmieliśmy się... przez łzy. W słowach tych brzmiała bezsilna wściekłość niewolnika, któremu władca kazał siebie bawić.

REFREN:

Tych, którzy nagrodzili nas Sołówkami,
Prosimy, przybywajcie do nas sami,
Posiedźcie tu latek trzy lub pięć, —
Będziecie z zachwytem wspominali.

Epidemia tyfusu.

Codziennie statek „Gleb Bokij" holował olbrzymią barkę nazwaną od imienia znanej komunistyki niemieckiej „Klarą Cetkin". Codziennie przybywały z lądu coraz to nowe partie aresztantów. Codziennie na pokładzie i pod pokładem „Gleba" i „Klary" setki nowych więźniów jechało po swój straszny los.

To nowe kohorty skazanych na zagładę stopniowo wsiąkały w różne filie obozu na wyspie sołowieckiej. Nim zaś nastąpi odpowiednia segregacja, musiały odbywać kwarantannę w centrum życia sołowieckiego w Kremlu, bądź w pobliżu. Przeznaczona na ten cel 13 kompania, mieszcząca się w murach b. cerkwi Preobrażeńskiej, już była przeludniona, liczyła bowiem z górą 1 000 osób. Ludzie spali na pryczach, pod pryczami, gdzie się dało, jak to się mówi, jak śledzie w beczce. Nowych przybywających zaczęto lokować w pustych stajniach i chlewach „Sielchozu" (gospodarstwa rolnego). Tutaj w gnoju, wilgoci, na cuchnącej słomie, w niemniejszej ciasnocie leżeli obok siebie złodziejaszek i profesor, „chleborób" ze wsi i były dygnitarz carskich czasów. Wszy niezliczonym mrowiem pokrywały ciała tych wynędzniałych postaci.

Jesienią r. 1929 pewnego dnia rozeszła się pogłoska szeptem powtarzana z ust do ust, gdyż o tym głośno mówić na razie nie było wolno, że w stajniach „Sielchozu" były wypadki tyfusu plamistego. Niebawem szpital sołowiecki został przeludniony. Zajęto pod szpitale prowizorycznie inne ubikacje. W parę tygodni potem zamknięto teatr, a widownię i foyer zaludniły tapczany z chorymi.

Wkrótce wstrzymano roboty na przedsiębiorstwach, skupiających większe rzesze pracujących. Następnie wzbroniono przechodzenie z kompanii do kompanii. Celę, w której ktoś zachorował, po przetranslokowaniu chorego do szpitala, zamykano na klucz i wszyscy jej mieszkańcy w ten sposób odbywali dwutygodniową kwarantannę. Obiady przynosił z kuchni dyżurny.

Wstrzymano przewożenie z lądu nowych partyj więźniów.

„Bratskija mogiły" na cmentarzu już dawno nie były w stanie pomieścić obfitego żniwa śmierci. W pobliskim lesie kopano doły, do których codziennie rzucano po kilkadziesiąt trupów. Na szczęście nastały mrozy i zapobiegły rozkładowi ciał. W piwnicach szpitala leżały stosy wyrzucanych codziennie z sal szpitalnych trupów, czekając swej kolejki na pogrzeb. Zmarłym zawieszano na szyi drewniane tabliczki z imieniem i nazwiskiem. Rychło jednak zarzucono też sposób prowadzenia ewidencji zmarłych i sanitariusz, zwilżywszy brzuch trupa mokrą szmatą, wypisywał na ciele nazwisko ołówkiem chemicznym. Sanitariusze również zapadali na tyfus i marli na równi z innymi. Sanitariuszów werbowano na ochotnika, kusząc ich dobrymi warunkami.

Epidemia objęła całą wyspę, z filii, które pod względem sanitarnym były jeszcze w gorszych warunkach niż Kreml, dochodziły nas wieści o niebywałych rozmiarach katastrofy. Nawigacja się skończyła. Lody skuły morze na pół roku.

Zaczęto stosować radykalne środki. Całe kompanie kolejno wyrzucano ze wszystkimi rzeczami i z pryczami

na śnieg. Szorowano prycze, oparzano je wrzątkiem. Dezynfekowano i myto cele.

Co tydzień gnano ludzi do łaźni, a ubrania oddawano do dezynfekcji. Zaprowadzono przymusowe strzyżenie więźniów na całym ciele. W łaźni zaczęto wydawać czystą bieliznę rządową. Zorganizowano tzw. „trójki sanitarne", które rewidowały kompanie pod względem sanitarnym i, w razie wykrycia wszy u któregoś z więźniów, całą kompanię bez zwykłej kolejności pędzono do łaźni, a ubrania odsyłano do dezynfekcji.

Wreszcie w lutym następnego roku epidemia tyfusu zmniejszywszy o połowę liczbę mieszkańców Sołówek, zaczęła się zmniejszać, aż na wiosnę ustała zupełnie.

Komisja z Moskwy.

Już przyleciały mewy — zwiastuny wiosny i krzykiem swym napełniały powietrze, lecz morze dokoła wyspy naszej stało jeszcze skute lodem.

Ciepłe tchnienia Golfstromu posuwały jednak coraz bardziej zbliżające się ku nam ciemne pasmo wody, ogołoconej już z lodu. Ciemne pasmo się zbliżało z każdym dniem, a z nim w naszych sercach budziła się radość rychłego nawiązania komunikacji ze światem. Znów ruszą ku nam statki z Kiemi — najbliższego portu na przeciwległym lądzie, znów ujrzymy nowych towarzyszy niewoli, znów zaczną przybywać krewni, by otrzymać kilkudniowe widzenie ze swymi bliskimi — uwięzionymi.

Widzenia były dwojakie: „na obszczych osnowanjach" (na ogólnych podstawach), kiedy przybyli na Sołówki

krewni, winni byli zamieszkiwać w przeznaczonym na ten cel domku i widywać się z uwięzionymi tylko raz dziennie w ciągu 2 godzin w obecności przedstawicieli administracji; były też widzenia „osobiste", kiedy uwięzionemu dozwolono na okres czasu od 7 do 14 dni zamieszkiwać wspólnie z przybyłymi i spędzać z nimi wszystek wolny swój czas bez ograniczeń. Takiego rodzaju widzenia udzielano z trudem, trzeba było odznaczać się nieskazitelnym sprawowaniem i być dobrze widzianym przez władze. Ci, którzy nie mogli reflektować na widzenie się ze swoimi bliskimi, cieszyli się perspektywą otrzymywania w lecie przesyłek żywnościowych. Ci wreszcie, którzy nic w ogóle w perspektywie nie mieli, cieszyli się ze zbliżającego się lata, jak tylko może się cieszyć człowiek na dalekiej północy, gdzie zima trwa z górą pół roku.

Wreszcie skorupa lodu pod ożywczymi promieniami słońca ścieniała o tyle, że łamacz lodów „Newa" zdołał już utorować drogę ruszającemu w pierwszą podróż „Glebowi Bokijemu".

W ostatnich dniach maja, jak rok rocznie, rozpoczęła się wreszcie żegluga.

Pierwszym przybyłym na Sołówki parowcem przyjechała jakaś tajemnicza komisja z Moskwy. Opowiadano dziwy. Mówiono, że Komisja (składająca się z pięciu osób) zaraz po przybyciu na wyspę udała się do kompanij więziennych, gdzie wypytywała więźniów o stosunki, panujące w obozie, o stanie sanitarnym dawniej i dzisiaj, o karach, stosowanych za niewykonanie pracy itp. Podczas tych rozmów przedstawiciele administracji, z zarządzenia komisji, byli nieobecni.

Wkrótce zaczęto opowiadać o jeszcze większych dziwach. Mówiono o zaaresztowaniu wielu przedstawicieli administracji spośród więźniów, mówiono nawet, że aresztowano i wolnych, mówiono ponadto, że został zaaresztowany sam naczelnik obozu Zaryn.

Tak było w istocie. Zaaresztowano kilkaset osób. Oskarżono ich o wykoszlawienie sowieckiej polityki i o niedbalstwo. Prawie połowę zaaresztowanych (przeważnie spośród więźniów) rozstrzelano, resztę — wolnych zesłano na terminy od 5 do 10 lat do różnych obozów koncentracyjnych. Naczelnik obozu Zaryn został zesłany na 10 lat do jednego z obozów.

Było to w roku 1930.

Zmiany.

Od tej daty na Sołówkach wiele się zmieniło. Skończyło się już panowanie „dryna" (pałki). Zaprzestano bicia więźniów. Skasowano Siekirkę. Poprawiły się warunki sanitarne. Łaźnia co tydzień stała się obowiązująca. W łaźni wydawano więźniom czystą bieliznę.

Co było przyczyną tych zmian?

Czyżby dotychczas centralne władze w Moskwie nie wiedziały o tym, co się u nas dzieje? Czyżby wiadomości o stosunkach, panujących na katordze sołowieckiej przypadkowo trafiły do OGPU w Moskwie i wywołały przyjazd ad hoc wyłonionej komisji, która przeprowadziła sanację?

My — więźniowie sołowieccy sceptycznie zapatrywaliśmy się na to wszystko, nie wierząc, by naszymi wład-

cami kierowały pobudki natury humanitarnej. Znając politykę Sowietów, skłonni byliśmy przypuszczać, że i w tym wypadku mamy do czynienia z pewnego rodzaju „inscenizacją“, obliczoną na efekt zewnętrzny, przypuszczaliśmy nawet, że coś niecoś o życiu Sołówek przeniknęło do prasy zagranicznej i srogie załatwienie się komisji z rzekomo winnymi miało na celu wykazanie, że Sowiety dbają o humanitarny stosunek do więźnia w myśl głoszonej przez nich zasady: „nie karać, lecz poprawiać“. Zresztą któż najwięcej ucierpiał na owej sanacji? Kaerzy, zajmujący administracyjne stanowiska, kaerzy, którzy rzekomo w celach dyskredytacji rządu sowieckiego paczyli jego politykę.

A w rzeczywistości — nie można przypuszczać, by owe „paczenie“ nie było rezultatem dyrektyw z góry. Od tego czasu „socjalnie bliscy“ (kryminaliści) zaczynają korzystać z wszelkich przywilejów. Próbowano nawet usunąć politycznych ze wszystkich stanowisk administracyjno-gospodarczych i obsadzić je złodziejaszkami. Atoli w prędkim czasie zaniechano tego eksperymentu, gdyż, ze względu na swój zbyt niski poziom intelektualny, złodzieje nie mogli podołać powierzonym im funkcjom, lub też, zajmując odpowiedzialne stanowiska, kradli.

Eksperymentu zaniechano, pozostała tylko zasada: o ile możności wykorzystywać na stanowiskach administracyjnych element kryminalny, odsuwając politycznych od kierowania życiem obozu.

Jednocześnie zaczęły z roku na rok pogarszać się warunki aprowizacyjne. Podczas gdy dawniej w (latach 1927—28) w sklepikach w obozie sołowieckim można

było kupić bez wszelkiego ograniczenia, w dowolnej ilości chleba, cukru, konserw, teraz już tylko od czasu do czasu sprzedawano śledzie, skwaśniałe powidła lub landrynowe cukierki w ilości bardzo ograniczonej i do tego tylko pracującym ponad normę „udarnikom".

Podczas krótkiego lata (lipiec-sierpień) przyroda podkarmiała trochę więźnia. W lasach sołowieckich rosły w olbrzymiej obfitości czarne jagody i borówki. Jagód tych była tak wielka ilość, że po parogodzinnej wycieczce do lasu można było uzbierać ich pełne wiadro. Oczywiście o zaprawieniu ich cukrem mowy być nie mogło, lecz lepiej coś, niż nic. Poza tym było dużo grzybów. Toteż podczas letnich miesięcy głód nie tak silnie dokuczał, jak w zimie.

Zima.

Ta długa polarna zima napawa więźnia strachem wręcz potwornym. Takby się chciało powstrzymać ziemię w jej obrocie dokoła słońca!

Lecz nie ma rady! Zaczynają się deszcze, deszcze bez końca, i dniem i nocą, bez przerwy, tygodniami. Wreszcie na zmianę przychodzi śnieg. Morze długo nie daje się skuć lodowej powłoce, lecz w końcu i ono bezsilnie się poddaje i na dziesięć kilometrów dokoła wyspa obramiona jest parometrowej grubości lodem. A dalej wałęsa się po morzu zagnana z oceanu Lodowatego kra, lub płynie tzw. „szuga", tj. miałki lód zmieszany ze śniegiem. Statki stoją na swym zimowisku w dokach.

Jesteśmy odcięci od świata. Lecz nie! Nie zupełnie. Bowiem codziennie, lub najdalej co drugi dzień, wylatuje z Sołówek na ląd hydroplan, którym wiozą dokumenty lub wyższych dostojników, ponadto w parę tygodni po zamknięciu żeglugi ruszą ku lądowi „pomory" na łodziach.

„Pomory".

Są to więźniowie sołowieccy, którzy zgłaszają się na ochotnika dla odbycia tej niebezpiecznej podróży. W małych sześcioosobowych łodziach, zaopatrzeni w prowiant na dwa tygodnie, ruszają na morze, wioząc ze sobą zwykłą pocztę — listy więźniów. Pchają łodzie poprzez otaczający wyspę lód dopóki z łodzią nie osiądą w płynącej po morzu „szudze". Wtedy zaczyna się walka z morzem... o życie.

Dobrze, jeżeli dmie wiatr pomyślny. Wtedy wysiłki wioślarzy nie idą na marne. Łodzie posuwają się w pożądanym kierunku — ku Kiemi. Po drodze napotykają olbrzymie pola lodowe. „Pomory" wciągają łodzie na lód, suną wolno, ostrożnie, trzymając się mocno burty... Bo lodowa powierzchnia raptownie się kończy i nieostrożny podróżny wpada przez zdradziecką szugę do wody. Jeśli się nie trzymał mocno burty łodzi, nim towarzysze zdołają podać mu rękę na ratunek, „szuga" się zamknie nad jego głową, która już więcej się na powierzchni nie ukaże.

Jeżeli zaś na morzu rozszaleje wiatr niepomyślny, wszelkie wysiłki wioślarzy — pomorów idą na darmo.

Wiatr razem z zatorami „szugi" pędzi łodzie w niewiadomą dal, często aż ku ujściu Białego morza do oceanu Lodowatego. Po parę tygodni odważni, zahartowani ludzie walczą z żywiołem, śpiąc na zmianę w tejże łodzi, która ich niesie może na zatracenie, pod przykryciem z brezentu, pod tymże przykryciem gotując sobie na maszynce naftowej strawę, zdani na łaskę i niełaskę wiatrów. Dobrze jest, jeżeli „pomorom" uda się przybić do jakiejś z wysepek, gęsto rozsianych na morzu Białym, i tutaj doczekać zmiany wiatru. Dość często giną. W roku 1929 jedną z łodzi, zdążających ku Kiemi, burza poniosła w odwrotnym kierunku. Ślad jej zaginął. Dopiero po paru miesiącach inna łódź, odbywająca podróż z Sołówek do Kiemi, napotkała zaginioną, pełną śniegu, oblodowaciałą, noszoną po morzu przez „szugę": — cała załoga łodzi zamarzła na śmierć.

Nie bacząc na niebezpieczeństwa podróży, śmiałków nie brak. Zajmują oni w obozie uprzewilejowane stanowisko. Mają wikt 1-ej kategorii, tj. taki, jaki otrzymują ci, co wykonują najcięższe roboty. W miesiącach letnich, nawigacyjnych, prawie nic nie robią, odpoczywają. Gdy się zaczyna okres komunikacji łodziowej, otrzymują mięsne konserwy i spirytus. Są to „specjały", których wszyscy inni są pozbawieni.

Gdy się rozejdzie po obozie wieść, że łodzie po raz pierwszy ruszyły ku lądowi, wszyscy z niecierpliwością oczekują wiadomości o ich losie. Nareszcie radio przynosi tak oczekiwaną wiadomość z Kiemi: łodzie szczęśliwie dobiły do lądu! A więc listy nasze dojdą do swoich adresatów. A więc otrzymamy może rychło, wraz z powrotem łodzi, wiadomość od tych, których pozostawili-

śmy tam, na wolności, jeżeli można zastosować ten wyraz, mówiąc o obywatelach sowieckich.

Bo, że ludzie mogą ginąć — kogóż to może obchodzić! Żyjąc w ciągłym niebezpieczeństwie, dziesiątkowani przez choroby, wycieńczenie i głód, będąc pod ciągłą groźbą rozstrzelania, więzień sołowiecki przyzwyczaił się lekko cenić życie ludzkie. — Dusza zaczerstwiała, egoizm zapanował wszechwładnie, zatraciły się wszelkie lepsze uczucia ludzkie w rodzaju litości czy współczucia.

Listy.

Zima. Długa północna zima. Podczas suchych mroźnych nocy świeci się na niebie zorza północna. Nowicjusze, gdy ktoś powie w celi: dziś na niebie zorza północna — wybiegają na ulicę, gapią się z ciekawością na niewidziane zjawisko. Zaś „stary sołowczanin" już obojętnym okiem patrzy na te migające po niebie jasne obłoczki, bądź wystrzelające z horyzontu słupy świetlne, bądź — na najefektowniejszą odmianę — olbrzymie półkole z wystrzępionymi zębami, które płoną, migają, niby jakieś blade niesamowite płomienie, przykryte tarczą...

Listy!... Przybyły listy!... Każdy śpieszy do swojej kompanii, gdzie u dyżurnego na stoliku leży kupa listów. Tworzy się kolejka. Wykrzykują nazwiska. Listy! Jakaż to radość niewymowna, jakież to szczęście bezmierne w zimie na tej przeklętej, odciętej od świata wyspie otrzymać list od kogoś, kto cię kocha, tęskni, bezsilnie boleje nad twym losem, stara się dodać ci sił do wytrwania, osłodzić życie nadzieją...



Dzieci — przyszłość Sowietów: pierwszy ze zdegenerowaną twarzą, drugi - kaleka.



Żebrak uliczny, których dziesiątki tysięcy napastuje o jałmużnę przechodniów w całej Rosji.

Listy!...

Lecz jakże godny litości jest ten, kogo spotyka zawód — listu nie otrzymał...

Inni czytają, odczytują po parę razy, nie mogąc się nasycić słowami, pisanymi drogą ręką. Poprzez lody, szugę, poprzez śniegi otrzymali ten kawałek papieru, zapisany wyrazami, które, starając się zmylić czujność cenzury, podają wiadomość o tym, co się dzieje pod strzechą rodzinną. Więzień sołowiecki nauczył się czytać między wierszami. On wie, że, jeśli mu piszą, że „siostra jego jest chora i leży w szpitalu" — to czytać należy: siedzi w więzieniu: jeśli mu piszą: „zdrowie twego brata wymaga dłuższego pobytu na uzdrowisku" — to znaczy: brat twój dzieli los twój i powędrował również do jakiegoś obozu koncentracyjnego; jeżeli napisano: „lekarze uznali, iż klimat nasz jest szkodliwy dla ojca", to czytaj: ojca twego zesłano gdzieś do kraju narymskiego lub do tajg pieczorskich...

Lecz ten, kto nie otrzymał żadnych wiadomości, zaiste godny jest pożałowania. Usta mu się kurczowo zacinają z wysiłku, by powstrzymać łzę, cisnącą się do oka. Nic! Żadnej wiadomości! Lepsza jest gorsza wieść, niż ta przeklęta niepewność, niż ten brak wszelkiej wiadomości.

Marzenia i koszmary.

A potem — gdy noc zapadnie, gdy pluskwy zaczynają wyłazić ze swych kryjówek, gdy cisza zalegnie na pryczach — więzień marzy.

Punktem wyjścia owych marzeń jest przede wszystkim — wolność. Widzi siebie na wolności w otoczeniu swych bliskich, takich, jakimi ich pozostawił przed laty. Duży kawał czasu już minął, lecz on widzi ukochane twarze takimi, jakimi je pozostawił wtedy; gdy ludzie w śpiczastych czapkach rzekli mu: „prosimy z nami na chwilę..."

A potem nić marzeń snuje się dalej. Marzenie o życiu spokojnym, bez ciągłego strachu, że w nocy przed drzwi mieszkania zajedzie auto z funkcjonariuszami GPU i rozlegnie się pukanie: „otworzyć!" Marzenie o jakimś innym życiu, może gdzieś za granicą, a może we własnej ojczyźnie, lecz bez znienawidzonych tych trzech liter alfabetu. Marzenie o cieple, o słońcu, o życiu sytym, czystym, pozbawionym trwogi...

A potem — marzenia ukołysały do snu i... znów ten okropny koszmar!

Zdaje mu się, że jest wolny. Idzie ulicami swego rodzinnego miasta, tak! — jest zupełnie wolny: nikt za nim nie kroczy... Lecz — baczność! A może to sen? Nie! wszak wszystko dokoła takie realne! Cha-cha, wszak oto idzie, czuje, patrzy, słyszy...

Lecz!... Wszak już tyle razy śniło mu się to samo. Wszak już tyle razy po przebudzeniu zgrzytał zębami, że dał się snom omamić, że uwierzył w senne fata morgana.

Więc i teraz sen?!

Nie! Wszak żyje, mówi, rusza się, dotyka przedmiotów...

Rozdwojenie jaźni.

Co jest snem, co jest jawą? Lecz skoro jest na wolności — dziwna rzecz! — czemu nie pamięta tych wielkich chwil, gdy wyszedł z kazamatów? Dlaczego ta luka w pamięci?

Lecz wszystko jest takie prawdziwe, realne! Wszyscy tak serdecznie się śmieją z jego niepokojów, aż wreszcie zmęczony tą walką wewnętrzną daje się przekonać: „no, dobrze, wierzę, już wierzę, tylko powiedzcie mi, najdrożsi, kiedy ja wróciłem do was, czemu nie pamiętam tej chwili błogosławionej?..."

I wtem — następuje rzecz straszna — przebudzenie!... Znów prycze więzienne, znów zaduch od spoconych ciał, znów chrapanie dokoła lub jęki przez sen koszmarny...

Ktoś się poruszył. Zapala zapałkę i tępi atakujące go pluskwy. Inny zdjął koszulę i szuka wszy. Gdzieś w ciemnym kącie, siedząc na pryczy z podwiniętymi według zwyczaju wschodniego nogami, kiwa się Uzbek, zanosząc modły do Allacha o ulżenie ciężkiej doli. W innym miejscu z piersi jakiegoś chłopa ukraińskiego wyrywa się błaganie: „Hospody! pomyłuj!"...

Czytanie rozkazu.

Niedziele skasowano. Dni nie pamiętamy. Żyjemy tylko według dat. Dniem świątecznym dla nas jest „dzień odpoczynku". Lecz nie zupełnie właściwie jest tak nazwany, gdyż przynajmniej połowa tego „dnia odpoczynkowego" jest poświęcona „san-obrabotce" — sprawom sanitarnym. Wynosimy na podwórko swe mienie, przewietrzamy pościel, myjemy prycze i podłogi.

Jutro — dzień „odpoczynku".

„San-obrabotka" nie wymaga wczesnego wstawania. Myśleliśmy, że się wyśpimy do syta.

Wtem o godz. 5 rano rozległy się we wszystkich kompaniach dzwonki: to dyżurni budzili więźniów ze snu.

— Wstawać! wstawać! prędzej! Żywo! Śpieszyć się!...

Senne postacie ociągały się jednak.

Ukazał się komendant kompanii i, ozdabiając swe rozkazy przekleństwami rosyjskimi, przynaglał ociągających się:

— Co?! prosić was będę? Stawać do apelu! Raz-dwa!...

Do apelu? Z jakiego powodu i dla czego tak wcześnie? Wszakże dziś dzień wypoczynku. Lecz protestować nie było u nas w zwyczaju i za chwilę zaspane postacie w szarych „buszłatach" wychodziły z lokalu na podwórko.

Na placu przed b. cerkwią preobrażeńską uszykowano nas wraz z innymi kompaniami w czworobok.

Wśród szeregów przelatują szepty — domysły. Poco nas w tę zimową noc tak wcześnie, przed świtem, wygnano na dwór i ustawiono na śniegu.

Amnestia!...

Ktoś wpadł na domysł, że radio podało wiadomość o szerokiej amnestii. Zabrano więc nas tutaj dla odczytania manifestu o amnestii.

Nowy kodeks!...

Ktoś inny twierdził, że w Moskwie uchwalono nowy kodeks karny, podług którego największym wymiarem kary

będzie — 5-cio letnie uwięzienie. Ci więc, co już odsiedzieli powyższy termin, będą wolni!...

Toteż serca gwałtownie zabiły, gdy od strony głównych wrót ukazały się postacie w długich szynelach... Zaraz się wszystko wyjaśni.

— „Zdrawstwujtie, roboczyja roty!“ (Cześć drużyno robotnicza).

— „Zdra!“ — rozlega się z parotysięcznej piersi odpowiedź na powitanie długich szyneli.

Zaczyna się czytanie rozkazu. Długa litania imion... Chyba już koniec?... Nie! jeszcze... i jeszcze... Czytający odwraca stronice... Spis imion jeszcze daleki do końca... Jeszcze i jeszcze... Kiedyż koniec?

„Kolegium OGPU wyrokiem z dnia takiego a takiego skazało:

X-a za usiłowania ucieczki.

Y-a za próbę ucieczki i usiłowania rozbrojenia warty.

Z-a za systematyczną odmowę wykonania pracy... itd., itd.,

na rozstrzelanie.

Wyrok wykonano!“

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Zmarznięci wracamy do swych kompanii.

— Ilu? ktoś pyta.

— Ja naliczyłem 123.

— Nie 123, lecz 121, mylisz się, — byli o podwójnych nazwiskach.

— Brałem to w rachubę...

— A zresztą, — czy nie wszystko jedno!

— A jednak X-a szkoda! zacny był z niego chłopak.

— Nie żałuj. Może on dziś szczęśliwszy od nas.

— A jednak, towarzysze, to straszne...

— Co?

— To...

— Straszniejsze jest, że myśmy się już tak oswoili ze wszystkim! Nic nas nie wstrząsa. Staliśmy tam, na placu, obojętni, słuchając znajomych nazwisk — nic nas nie wzruszało, tylko myśleliśmy, aby już prędzej wrócić do ciepłej celi na te zapluskwione prycze...

— Daj spokój filozofii... A czego się wzruszać! — Czy nie wszystko jedno?...

— Ot lepiej powiedzcie, czyja kolej iść po wrzątek do kuchni...

— Dziś jego.

— Nie, przepraszam, ja wczoraj chodziłem!...

— Nie kłóćcie się! Dajcie spokój!... Wiecznie to samo!...

— Cóżeś taki delikatny!...

— Stulcie pyski!...

— Dranie!...

Wraca kompania do swoich cel. Już spać nie warto. Trzeba się napić wrzątku.

— Może kto pożyczy kawałek chleba?

— A kiedy oddasz?

— Jutro — z racji, którą otrzymam...

— Już raz pożyczyłeś 200 gramów a nie oddałeś!

— Łżesz, oddałem.

— Nie oddałeś!

— Cicho! Nie drzyjcie się...

— Zatknij uszy, jeśli ci się nie chce słuchać...

Kompania wraca do normalnego życia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Wiosna.

Płyną dnie, miesiące, lata. Zdawałoby się, że dużo się zmienia: jedni umierają, innych rostrzeliwują, jeszcze innych po ukończeniu terminu więzienia obozowego wywożą gdzieś na wygnanie do tundr pieczorskich, kraju narymskiego lub tajg syberyjskich, a właściwie — nic się nie zmienia. Pozostaje wieczna niewola.

Co wiosnę, jeszcze gdy morze stoi skute lodem, przylatują jej zwiastuny — mewy i krzykiem swym przeraźliwym napełniają powietrze, co wiosnę serca goręcej biją, gdy podmuchy Golfströmu zaczną rzucać fale morskie na otaczającą nas powłokę lodową, lecz nadzieje wiosenne są płonne, jak zwykle, lecz nowy rok nawigacyjny nie przynosi nic lepszego.

— Już mewy przyleciały!...

— To tylko rekonesans... Odlecą z powrotem, gdy ujrzą, że morze jeszcze skute lodem.

Tak samo odlecą nadzieje.

A jednak nadzieje ożywają rok rocznie. Bez nadziei żyć byłoby nie do zniesienia. Każdy ma nadzieję, każdy wierzy w lepszy los po swojemu. Jednemu się śni amnestia, inny marzy o nowym kodeksie, inny znów prorokuje rychły upadek Sowietów.

— Nie wytrzymają!... Na Ukrainie głód... Mój sąsiad z pryczy, Ukrainiec, otrzymał list z domu... Zaczyna się ludożerstwo znów... Nie wytrzymają, to ostatnie wysiłki...

— A jednak piatiletka...

— Co piatiletka!... Najdalej za trzy miesiące to się skończy.

— Daj Boże, żeby się to skończyło za trzy lata... I tak byłoby dobrze...

— Ależ ja panu mówię...

— Panie! nie tak głośno!...

— Nikt nie słyszy... Panie! Przecież zdrowy rozsądek mówi, że dłużej tak trwać nie może... Panie! Prędko stąd pojedziemy...

— Och panie... nie tak głośno...

* * *

W „kaptiorce" (składnica) już panuje ruch. Naturalnie, jak wszędzie, kolejka ludzi. Wydają letnie ubrania. Odbierają watowane spodnie i takież kurtki i wydają letnie spodnie i płócienne bluzy. Prawda, jeszcze jest zimno, jeszcze wiatr północny od czasu do czasu kręci kurzawą śniegu po wyspie, lecz przyszła już kalendarzowa pora zmiany ubrań, tak musi być.

W „kaptiorce" krzyki, sprzeczki, użalania się.

— Co mi dajesz jakieś strzępy!

— Ależ to strasznie brudne! Daj mi co innego.

— Ależ te spodnie bez żadnego guzika!

— Ta bluza dla mnie za ciasna. Daj mi inną.

— Bierz co dają, nie marudź i paszoł won!

Na placu więziennym spotykają się jakieś dwie kobiety. Twarze uszminkowane, usta obficie nakarminowane. Jedna ma na nogach wykrzywione buty więzienne, druga łatane „walenki" zimowe, których jeszcze nie zdążyła oddać do „kaptiorki".

— Ach, jaki pani ma ładny „buszłacik"! — Jak dobrze leży! W jaki sposób tak dobrze dopasowany?

— Przerobiłam.

— Pani sama, własnoręcznie?

— Nie, mam krawcową. Moja sąsiadka. Śpi na sąsiedniej pryczy.

— A, muszę się koniecznie z nią zapoznać! Czy drogo bierze?

— Nie, dość tanio. Obiecałam jej ćwierć kilo cukru, gdy otrzymam posyłkę od męża.

— Ach, istotnie nie drogo. Pani kochana mnie z nią zapozna...

Dwie umalowane kobiety w stroju katorżnym rozmawiają ze sobą, jak dwie damy światowe, które się naradzają, do jakiej krawcowej oddać do szycia kostium wiosenny...

Przechodzi ktoś w długim szynelu.

— Co to za rozmowy! Dlaczego o tej porze nie na robocie? Kto zwolnił?

Strojnisie śpieszą do pracy: jedna do przebierania kartofli, druga do pralni.

Sprawy religijne.

Do roku 1928 na wyspie sołowieckiej były dwie ubikacje, w których pozwolono raz na tydzień odprawiać

nabożeństwa — w jednej księżom, w drugiej — duchownym prawosławnym. Ów improwizowany kościołek katolicki była to nieduża szopa w lesie, w odległości kilometra od centrali obozu — Kremlu, nie mogąca zmieścić wszystkich pragnących wziąć udział w nabożeństwie. Stare sołowieckie zaś cerkwie po-klasztorne były przerobione na koszary więzienne. Zamiast obiecywanych szkół — kazamaty sowieckie, w których życie uczyło nas wielkiej prawdy, że bolszewicy potrafią sprofanować wszystkie świętości. Nawet to — nawołujące do braterstwa, wiążące serdecznym stosunkiem ludzi jednej myśli, jednej pracy, jednej doli — słowo „towarzysz" budzi dziś u każdego, niezarażonego komunizmem, nieprzyjemne dreszcze odrazy, tak ten piękny wyraz został spostponowany, zohydzony, zaszargany w ustach bolszewickich.

W r. 1928 nabożeństwa zostały zabronione. Mało tego: wszystkich księży katolickich i prawosławnych osadzono w 14-ej karnej kompanii. Mało tego: zrobiono u nich ścisłą rewizję i poodbierano książki do nabożeństwa, obrazki święte, krzyże. Dotąd księża i popi byli przydzielani do lżejszej roboty: pełnili obowiązki stróżów, zarządzających gospodarką więzienną i w ogóle zajmowali stanowiska takie, gdzie potrzeba było ludzi uczciwych, którym można bez obawy powierzyć mienie obozu. Obecnie, po skoncentrowaniu ich w kompanii karnej wysłano ich na wyspę Anzer, gdzie osadzono na filii „Golgota". Nazwa całkowicie odpowiadała ich losowi. „Golgota" anzerska była dla nich zaiste golgotą. Tutaj zmuszano ich pracować fizycznie ponad siły, zmniejszając jednocześnie rację żywnościową.

Znęcano się nad nimi i szykanowano w najrozmaitszy sposób.

Dopiero w r. 1932 zlikwidowano „Golgotę“, rozpraszając księży i popów po innych filiach.

* * *

Wśród politycznych więźniów sołowieckich, tzw. kontr-rewolucjonistów, jest bardzo znaczny procent ludzi wierzących.

Element kryminalny — złodzieje, zbóje, bandyci, prostytutki — są prawie wszyscy bezwyznaniowcami. Rozmowa ich jest gęsto przeplatana specyficznym przekleństwem rosyjskim, w którym się zbezczeszcza pamięć matki. Podobno przekleństwo to datuje się z czasów niewoli tatarskiej i było używane przez zaborców. Wtedy ono miało chociaż pewien sens, gdyż, o ile nie odpowiadało istocie rzeczy, miało na celu zelżenie niewolnika. Dziś to straszne przekleństwo nosi charakter przysłowiowy i często dwaj przyjaciele po długim niewidzeniu się lżą siebie wzajemnie z... radości spotkania. Wszystko bowiem zależy od intonacji głosu, z jaką przekleństwo zostało wypowiedziane: wypowiedziane groźnie, wyzywająco — jest obelgą, wypowiedziane zaś tonem przyjaznym z miłym uśmiechem — może być wykrzyknikiem radości, zdumienia, zachwytu.

Rewolucja urozmaiciła owe przekleństwo, czyniąc zeń ohydne bluźnierstwo. Nowa forma bardzo prędko się przyjęła i dziś niemal nie schodzi z ust sowieckiego rzezimieszka. W takim otoczeniu, przy rozlegających się dokoła bluźnierstwach, szepczą swe modły wierni.

* * *

Zapytywałem nieraz znajomych księży, czy bolszewicka agitacja anty-religijna znacznie zmniejszyła liczbę wierzących. Zawsze otrzymywałem odpowiedź jedną: że w miastach wśród młodzieży, szczególnie męskiej, istotnie dają się zauważyć wpływy agitacji. Nie można natomiast tego powiedzieć o wsi. Tam nie tylko że się nie zmniejszył procent wierzących, lecz wręcz przeciwnie — prześladowanie religii i terror spotęgowały wiarę, zrodziły pragnienie ofiarnictwa i męczeństwa. Ludność wiejska za nielicznymi wyjątkami jest religijną i nie poddaje się ani agitacji, ani terrorowi.

„Wychowanie" więźnia.

Więziennictwo sowieckie wiele uwagi zwraca na wychowanie więźnia. Celem bowiem więzienia sowieckiego ma być nie kara, lecz poprawa. Główną wagę się kładzie na wychowanie „socjalnie bliskich", tj. złodziei, opryszków, zbójów itp. więźniów kryminalnych. Oni bowiem są rzekomo ofiarami dawnego ustroju kapitalistycznego i zadaniem nowego ustroju socjalistycznego jest likwidacja smutnego dziedzictwa przeszłych czasów. Środkami wychowawczymi są: po pierwsze — lekcje „politgramoty" (wiedzy politycznej), tj. swego rodzaju katechizmu sowieckiego, po drugie — wpływy „wychowawców", po trzecie „stiengaziety" (gazety ścienne), po czwarte — „krasnyje ugołki" (czerwone kąciki) i po piąte — kina, kluby, odczyty, przedstawienia teatralne i in. środki agitacyjne.

„Politgramota" wbija w zdegenerowane łepetyny więźniów kryminalnych pojęcia o klasowości, o zdoby-

czach rewolucji październikowej, o osiągnięciach „piatiletki", o konstytucji państwa Sowietów.

„Wychowawcy", rekrutujący się z tychże więźniów, lecz którzy już posiedli w dostatecznej mierze mądrość „politgramoty" i swą przynależnością klasową dają rękojmię, że będą mogli sumiennie spełniać swe obowiązki, przede wszystkim baczą na prawomyślność swych wychowanków pod względem politycznym i równolegle mają zadanie szpiclowania swych towarzyszy.

„Stiengazieta" uprawia donosicielstwo w formie pisemnej (anonimowo). Jest to nalepiana periodycznie na ścianach pisana od ręki gazetka, traktująca o życiu więziennym, piętnująca zaniedbujących się w pracy lub gwałcących przepisy więzienne, zachęcająca do „udarniczestwa" (pracy ponad normę), wymieniająca nazwiska tych, którzy winni są jakichkolwiek uchybień. Powyższa forma denuncjacji daje olbrzymie pole do porachunków osobistych między więźniami.

„Krasnyje ugołki" — jest to rodzaj kapliczek bolszewickich. Przeznacza się na nie najlepsze ubikacje w kazamatach. W rogu umieszczone jest gipsowe popiersie Lenina udekorowane czerwienią, w braku popiersia zawiesza się portret. Ściany pokryte są „łozungami" (hasłami). Pośrodku stoi stół, pokryty czerwoną płachtą, a na nim rozrzucone są prenumerowane przymusowo przez więźniów czasopisma sowieckie.

Teatr.

Szkice moje grzeszyłyby tendencyjnością, gdybym nie wspomniał o rozrywkach kulturalnych, dostępnych więź-

niom na Sołówkach. W pierwszym rzędzie muszę powiedzieć o teatrze.

Przedstawienia teatralne są — oczywista — najsilniejszym środkiem agitacyjnym. Każdy film sowiecki, zarówno jak sztuka teatralna, przede wszystkim winien być bez zarzutu pod względem ideologicznym. Ciasne ramki ideologii bolszewickiej — rzecz jasna — wpływają i na tematy owych utworów. Owymi do nieskończoności rozwałkowywanymi tematami są: przede wszystkim rewolucja październikowa, poza tym wojna domowa (1917—1919), następnie zdobycze budownictwa socjalistycznego, dalej szkodnictwo w osiągnięciu owych zdobyczy, gospodarka kolektywna na wsi itd.

To też widz oddycha z ulgą, gdy czasem ujrzy na scenie sztukę klasycznego repertuaru, tak już obrzydła sztuka „wytrzymana ideologicznie".

Tak też było i u nas na Sołówkach.

Sołówki posiadają wcale niezły, jak na stosunki więzienne, teatr, mogący pomieścić przeszło 500 osób, z dużą sceną, zaopatrzoną w odpowiednią instalację elektryczną. Teatr ten jest przerobiony z dawnej klasztornej „trapieznoj" (sali stołowej mnichów) wraz z lokalami z nią sąsiadującymi.

Wśród więźniów są przedstawiciele wszystkich gałęzi sztuki scenicznej i estradowej: są aktorzy, muzycy, śpiewacy, baletnicy, akrobaci, sztukmistrze; są również malarze-dekoratorzy, elektrotechnicy, rekwizytorzy, maszyniści teatralni — słowem cały zespół artystyczno-techniczny, w teatrze niezbędny.

Przedstawienia odbywały się cztery razy tygodniowo: pierwsze dwa płatne i drugie dwa bezpłatne. Na bez-

płatne, bilety rozdawali komendanci kompanii lub wychowawcy. Należy zaznaczyć, że płatne przedstawienia cieszyły się większym powodzeniem, niż darmowe, a to z tego względu, że kupujący bilet teatralny miał prawo jednocześnie kupić bilet dla znajomej kobiety i podczas przedstawienia siedzieć obok niej. Była to jedyna okazja legalnego obcowania towarzyskiego z kobietą, podczas gdy na przedstawieniach gratisowych kobiety i mężczyźni byli rozsadzani osobno: jedni zajmowali lewą stronę parteru, drudzy — prawą.

Teatr sołowiecki zorganizowany przez jednego z zesłanych aktorów, powstał w latach 1926—27. Narazie aktorzy i inny personel teatralny nie był zwalniany od ciężkiej pracy katorżnej. Wieczorem, po wykonaniu zadania („urok"), więźniowie-aktorzy zbierali się w udzielonym im na ten cel lokalu i tutaj do późna w nocy robili próby. Zapał był wielki. Ciężkie jest życie uwięzionego — i w pracy artystycznej szuka ucieczki od koszmarów życia realnego. Własnymi siłami z jakichś starych worków uszyto kostiumy. W tenże sposób urządzono dekoracje. Przedstawienie się udało. Pomysł stworzenia stałego teatru przypadł do gustu władzy. Zebrano wszystkich aktorów, zwolniono ich od większości robót przymusowych. Niebawem zorganizowano orkiestrę. Znalazł się w obozie majster, który był specjalistą od robienia różnych instrumentów dętych. Orkiestra więc rychło została zaopatrzona w niezbędne instrumenty.

Oczywiście impreza narazie przewidywała nie wpływ kulturalny na uwięzionych, lecz rozrywkę dla „władzy", która na tej przeklętej wyspie, gdzie lato trwa zaledwie

dwa miesiące, nie miała dotychczas innej uciechy oprócz pijaństwa i polowania.

W ten sposób powstał teatr, który potem skoncentrował znaczne fachowe siły aktorskie, wśród których spotykały się jednostki o znanych imionach, oraz aktorów-amatorów, wśród których spotykały się często wybitne talenty.

Wizyta Gorkiego.

Pewnego lata wyspę naszą odwiedził Maksym Gorki. Było to w r. 1928 lub 1929, dokładnie nie pamiętam. Lata katorgi tak są do siebie podobne, czas płynie tak jednostajnie, że chronologia wypadków nie trzyma się pamięci, pozostają tylko same wrażenia silne, nie zatarte, lecz nie związane ściśle w czasie.

* * *

Z powodu przybycia dostojnego gościa w teatrze sołowieckim siłami artystycznymi więźniów przygotowano koncert o doborowym programie. Artyści mieli „tremę". Godzina rozpoczynania koncertu minęła, lecz gości na sali jeszcze nie było. Tylko szary tłum aresztancki zapełniał ławy.

Ktoś, stojący na czatach przy dziurce w kurtynie, krzyknął: „idą! idą!" Zawrzała na chwilę gorączka zakulisowa; przed podniesieniem zasłony inspicjent sprawdzał, czy wszyscy uczestnicy koncertu są gotowi, czy wszyscy są na swoich miejscach.







Zniwo głodu. U góry: trup chłopca zmarłego z głodu w szpitalu. W środku: trup dziecka na ulicy, które po śmierci obrabowano z ubrania. Na dole: koszmarny transport zmarłych z głodu do wspólnej mogiły.



Kiedy ich pogrzebią? Na cmentarzach wskutek olbrzymiego żniwa śmierci i skutej przez mróz na skałę ziemi — stosy trupów leżą całymi miesiącami w oczekiwaniu na pochowanie.

Wdrapałem się na „kołośniki" (galerię, otaczającą scenę ze strony zakulisowej). Tam przylgnąłem okiem do dziury, wyświdrowanej w drewnianej ścianie i z wielką ciekawością obserwowałem siedzącego w pierwszym rzędzie ławek p. Maksyma Gorkiego wraz z asystą. Obok niego siedziała jakaś młoda kobieta w stroju mę skim z ciemnej skóry, dalej w długich do pięt szynelach dygnitarze GPU. Kobieta jak mi powiedziano potem, była to córka pisarza.

Kierowała mną podwójna ciekawość. Gorkiego dotąd nigdy nie widziałem. Jeszcze nie zeszedłszy z ławy szkolnej już wraz z mymi kolegami zaczytywaliśmy się utworami młodego wówczas pisarza, który pierwszy wprowadził do literatury typ „bosiaka" — lumpenproletariusza rosyjskiego. Ponadto, już nie jako pisarz lecz jako człowiek, p. Pieszkow (prawdziwe nazwisko Gorkiego) posiadał dla nas urok niezwykły przez swe zapatrywania wolnościowe, przez częsty konflikt z władzami, przez swą niezwyczajną, pełną przygód młodość górną, a chmurną. Dziś ten człowiek siedział oto tu, niedaleko przede mną, snopy światła z górnej rampy przedostawały się na salę i oświetlały dostatecznie tę starczą dziś twarz z obwisłymi wąsami, bym mógł coś z niej wyczytać. Wszak tutaj w tej sali dokoła niego byli zgromadzeni ludzie, którym też drogie są ideały wolnościowe, którzy, jak i on, walczyli kiedyś z samowładztwem rosyjskim — wszak te postacie w szarych przesiąkniętych od częstej dezynfekcji zapachem formaliny „buszłatach" — to ciż sami, którzy się kiedyś również tułali po więzieniach carskich, i jak on również marzyli o wolnej Rosji.

Twarz Gorkiego wyrażała bezbrzeżną nudę. Siedział przygarbiony zlekka i obojętnym wzrokiem patrzał na estradę, skąd płynęły dźwięki muzyki, pieśni — całego programu, ułożonego ku jego czci.

A może mi się tak zdawało? Może autor „Buriewiestnika" (nazwa jednego z dzieł Gorkiego) bujał myślą w przeszłości, może porównywał siebie dawnego z sobą dzisiejszym, a może to nie wyraz znudzenia na twarzy, — może to smutek zawiedzionych nadziei, a może to ból, który sprawiają wyrzuty sumienia?



Jakie wrażenie odniósł Gorki z Sołówek? — zadawaliśmy sobie pytanie. Prawda, że samodzielnie pisarz proletariacki nie postawił nigdzie kroku, eskortowany wszędzie przez dygnitarzy GPU. Tak jak wycieczkowicze zwiedzający Związek Sowieckich Republik, widzą tylko to, co im uprzejmi gospodarze chcą pokazać, tak i Gorki był oprowadzany tam, gdzie mógł widzieć li tylko dodatnie strony. Lecz nie — myśleliśmy — człowiek o tak bogatym doświadczeniu życiowym, jakie posiada Gorki, on zobaczy ukrywaną prawdę, przed jego przenikliwym okiem prawda się nie ukryje...

Jakie rewelacje zamieści Gorki w pismach po swym powrocie z wyspy sołowieckiej? — zapytywaliśmy siebie w swej naiwności.



Istniała na wyspie sołowieckiej kolonia poprawcza dla nieletnich przestępców. W oddzielnych barakach gromadzono młodzież spośród zbrodniarzy kryminalnych. Na tle ogólnej bierności tzw. „ka-erów" (kontr-rewolucjonistów), ci młodociani złodzieje, zbóje, podpalacze, gwałciciele stanowili jaskrawą plamę przez swą junakerię, buntowniczość, igranie z niebezpieczeństwem.

Rozprawy nożowe, kradzieże i inne przestępstwa były zjawiskiem w tej sferze niemal codziennym. Po przebyciu pewnego okresu w owej kolonii sołowieckiej, gdzie starano się ich wychować na prawowiernych obywateli sowieckich, wtłaczając w ich zdegenerowane mózgi mądrość „politgramoty", większość wysyłano następnie do kolonii dla nieletnich przestępców do Bołoszowa pod Moskwą, gdzie kształcono ich na agentów policji kryminalnej, gdyż mogli oni okazać w tej dziedzinie znaczne usługi, zawdzięczając swym dawnym stosunkom w świecie zbrodniarzy.

Nie wiem, jak to się stało, że Gorki nazajutrz wymknął się spod opieki swych „gospodarzy" i na własną rękę przedsiębrał spacer po wyspie. Tutaj przypilnowali go wychowankowie kolonii, zaprosili do swego baraku i zaczęli mu opowiadać o „odwrotnej stronie medalu": o biciu więźniów za niewykonanie roboty, o rozbieraniu w zimie, o pracy nad siły, o złym odżywianiu itp.

Podobno Gorki słuchał owych relacji z uwagą, nie wypowiadając oczywiście swego w tej kwestii zdania.

Nie wiem, jak i czy byli karani „koloniści" za swój zuchwały postępek. Przypuszczam jednak, że niektórzy ciężko swą odwagę odpokutowali.

Wieść o owej rozmowie rozniosła się szybko po obozie. Byliśmy pewni, że był to ów „zgrzyt żelaza po szkle“, który powstrzyma pióro pisarza od wypowiadania zachwytów nad polityką Sowietów.

Stało się jednak inaczej. W parę tygodni potem czytaliśmy w prasie sowieckiej zachwyty Gorkiego nad życiem więźniów w obozie Sołowieckim...

A sam, po zwiedzeniu wyspy sołowieckiej wrócił na słoneczną wyspę Capri...

Złośliwi twierdzą, iż mieszkając stale poza granicami państwa Sowietów, tym bardziej mając otworem obszerny rynek księgarski dla swych utworów w Rosji, nie trudno jest zachwycać się budownictwem socjalizmu. „Kontr-rewolucjoniści“ twierdzą, że bądź-co-bądź, lżej się oddycha w ojczyźnie faszyzmu, gdzie wille prywatne nie uległy konfiskacie, niż w ojczyźnie socjalistycznej, gdzie posiadanie dwóch oddzielnych pokojów należy do wielkiego komfortu.

Kino.

Poza tym posiadaliśmy kino — parę razy w tygodniu. Najciekawszy dla nas seans kinowy był w r. 1928, gdy na ekranie ujrzeliśmy „samych siebie“.

Pamiętam, jak się robiły zdjęcia dla tego filmu. Przed naszą kompanią był mały ogródek, w którym latem usiłowały rozkwitnąć jakieś rachityczne kwiaty. W ogródku stała drewniana kaplica, dziś spełniająca rolę czytelni pism. Pewnego razu ku swemu wielkiemu zdziwieniu usłyszeliśmy rozbrzmiewające w ogródku

dźwięki naszej orkiestry więziennej. Komendant obchodził nasze cele, wybierał spośród nas ludzi, mających przyzwoitszy wygląd zewnętrzny, i skierowywał ich do ogródka. Tam zaś były już ustawione stoły, przy których, siedzieli więźniowie, grając w szachy lub przeglądając pisma. Napędzono tutaj również i kobiety z żen-roty i pozwolono im obcować z mężczyznami. A na uboczu stał mechanik z aparatem i nakręcał film. Oczywiście sytuacja była tak niezwykła, że śmiechom i chichotom nie było końca, to też film się udał: dał obraz radości sołowieckiej.

Oglądaliśmy potem radosne własne miny, patrzyliśmy, jak raźnie i dziarsko rano wychodzimy na roboty, jak wesoło pracujemy, jak odpoczywamy po pracy, oddając się kulturalnym rozrywkom.

Film zrobił swoje: rozszedł się po Z. S. R. R. Matka moja pisała, z Mińska: „widziałam w kinie wasze życie na Sołówkach. Uspokoiłam się znacznie. Widzę, że tam nie jest tak źle, jak myślałam"...

Oczywiście odpowiedziałem, że jest mi bardzo dobrze, w przeciwnym razie cenzura listu by nie przepuściła.

Biblioteka.

Wielką osłodą życia jest biblioteka. Bibliotekę mieliśmy na Sołówkach bardzo bogatą: posiadaliśmy książki prawie we wszystkich językach europejskich. O ile, jeśli chodzi o książki rosyjskie, od czasu do czasu wycofywano, podejrzane pod względem ideologicznym, o tyle nie da się tego powiedzieć o książkach w językach cudzoziemskich. Jako curiosum przytoczę fakt, że spotkałem

jakąś starą francuską powiastkę dydaktyczną dla dzieci, której sens moralny był mniej więcej taki: pamiętajcie, dziatki, że ludzie uczciwi spotykają się nie tylko wśród markizów; zdarza się czasem, że bywają uczciwymi i ludzie biedni...

Muzeum.

Posiadaliśmy też muzeum sołowieckie, składające się z trzech działów: dział przyrody, gdzie były nagromadzone martwe eksponaty flory i fauny sołowieckiej, dział przemysłowy, gdzie były wystawiane próbki przemysłu i rzemiosła tutejszego (garbarnia, ślusarnia, garncarnia, stolarnia itp.) i dział historyczny, w którym były ulokowane święte obrazy (ikony), pozbierane z cerkwi, niektóre o wielkiej wartości artystycznej, misternej roboty krzyże, rozmaitego kształtu i wagi, łańcuchy żelazne zakończone krzyżem, noszone przez mnichów prawosławnych celem umartwienia ciała i inne pamiątki po dawnym klasztorze. Lecz największą atrakcją były dawne relikwie — zamknięte w szklannych skrzyniach prochy św. Zosimy i św. Sawatiusza, założycieli klasztoru sołowieckiego.

Zwiedzać muzeum wolno było tylko grupowo pod wodzą wychowawcy lub komendanta kompanii. Specjalny przydzielony do muzeum przewodnik udzielał odpowiednich objaśnień. Dział historyczny zwiedzano zwykle bardzo pobieżnie, w pośpiechu, a objaśnienia nosiły charakter antyreligijny.

Przez pewień czas piastowałem urząd stróża muzealnego. Obowiązki moje nie były skomplikowane: spacero-

wałem po korytarzach muzealnych, wystawałem czasem przed drzwiami, uważając bacznie, by „socjalnie bliscy" nie powykradali eksponatów.

Prawie codziennie, gdy wychodziłem na ganek muzealny, zbliżał się do mnie pokornie jakiś w średnim wieku chłop z pod Tuły i prosił, aby dać mu się pomodlić. Rozglądałem się uważnie na wszystkie strony i, będąc pewny, że nikt mego wykroczenia służbowego nie widzi, prowadziłem chłopa do działu historycznego. Tutaj zwyczajem prawosławnym, żegnając się nisko, kłaniał się w cztery rogi pokoju, a następnie zbliżał się do prochów świętych i odbijał pokłony.

Po twarzy spływały mu łzy...

W roku 1933 nastąpiła reorganizacja muzeum. Dział historyczny kazano zamknąć dla publiczności.

Sport.

W obozach sowieckich dużo uwagi udziela się ćwiczeniom fizycznym. W Sołówkach było specjalne boisko sportowe, gdzie latem uprawiano różne gry, w zimie zaś urządzano ślizgawkę, wycieczki na nartach, saneczkowanie się. Należy przyznać, że wszystkie te sporty były dostępne dla wszystkich, potrzebne zaś utensylia sportowe, jak narty, łyżwy itp. były rządowe.

Podział więźniów.

Administracja dzieli więźniów na dwie kategorie: „kaerów" (kontr-rewolucjonistów) i „socjalnie bliskich", tj. złodziei, zbójów itp. Dwa różne światy, dwie odmienne psychiki, dwie etyki.

Więzień kryminalny, którego miałem nieprzyjemność poznać podczas swego przymusowego zwiedzania przeróżnych więzień, dzieli ludzkość na dwie wyraźnie zarysowane części: my i oni. Jedna — to wszyscy ci, którzy są w niezgodzie z prawem, to złodzieje, bandyci, oszuści itp., którzy żyją pasożytniczo na ciele społeczeństwa, to „swoi", druga zaś to „frajerzy", to mrowisko ludzkie, które wytwarza pewne wartości, które pracuje, pisze kodeksy, dysponuje organami bezpieczeństwa itd.

Pierwsi — to wybrańcy losu, rodzaj nadludzki, którym wszystko wolno, drudzy — to heloci, niezdolni „do niczego lepszego". Pierwszych obowiązuje swoja własna etyka, nie mająca zastosowania w stosunku do „frajerów". Karciany dług honorowy winien być spłacony w ciągu doby, dane słowo winno być dotrzymane, podczas gdy w stosunku do „frajera" dopuszczalne jest wszelkie oszustwo. Gdy podczas gry w karty (a wszyscy kryminaliści z zamiłowaniem uprawiają gry hazardowe), komuś dziś los nie sprzyja i brak mu na dalszą grę pieniędzy, będzie grał na spodnie lub buty śpiącego na sąsiedniej pryczy „frajera" — a w razie przegranej — sumiennie ukradnie rzecz, postawioną na kartę i odda ją szczęśliwemu graczowi. Gdy brak już w pobliżu „frajera", będzie grał na palec u własnej ręki i bez wahania w razie przegranej, utnie go siekierą, żeby rzucić swemu partnerowi. Znam wypadek, gdy pewien kryminalista, I. K., przegrał swoją kochankę, będącą w stanie odmiennym. Pod pretekstem spaceru wyprowadził ją do lasu, gdzie już w umówionym miejscu czekało sześciu wczorajszych graczów i tam każdy z kolei gwałcił dziewczynę. (Sołówki r. 1928). Dług honorowy został spłacony

w ciągu 24-ch godzin! Możliwe, że amant nawet nie był pozbawiony pewnego sentymentu względem swej towarzyszki, lecz... dług przede wszystkim! Dziewczyna zaś, w obawie zemsty, milczała, nie śmiąc skarżyć się administracji.

Okraść „swego" nie wolno, ukraść zaś u „frajera" ostatnią koszulę jest czynem zuchowatym.

Tak więc ten świat przestępców kryminalnych uznaje dwie etyki: jedną we wzajemnych stosunkach, wśród „swoich", drugą zaś, lub właściwie żadnej, — w stosunku do „frajerów".

Toteż wzajemne stosunki „kaerów" i „socjalnie bliskich" były stale wrogie. „Socjalnie bliscy" okradali „kaerów", ci ostatni zaś, gdy zajmowali w obozie większe stanowiska, wywierali swą zemstę nad „socjalnie bliskimi".

Dla ilustracji stosunków przytoczę fakt, który miał miejsce w r. 1928.

Nadzy... w grudniu!

W dnie wolne od przedstawień teatralnych foyer teatralne było miejscem zbiórek dla przybywających z filij partyj więźniów. Przerzucanie więźniów z jednej miejscowości do innej odbywało się ciągle. Ciągle, w miarę zapotrzebowania rąk roboczych, transportowano znaczne grupy robotnika katorżnego z jednej filii do drugiej.

Było to w grudniu r. 1928. Morze jeszcze nie zamarzło, lecz już było pokryte gęstą krą. Oczekiwaliśmy przybycia partii więźniów z pobliskiej wyspy Anzer.

Siedziałem w kancelarii teatralnej zajęty przepisywaniem ról. Przy drugim stole siedziała kobieta, ongiś generałowa, dziś — jak my wszyscy — w szarym stroju katorżnym, pełniąca w teatrze sołowieckim funkcje kasjerki.

Naraz usłyszeliśmy ruch na schodach. Moja towarzyszka, pchana ciekawością kobiecą, rzuciła się ku drzwiom, by przyjrzeć się przybywającej z Anzeru partii więźniów. Ja zaś obojętnie skręcałem papierosa z machorki, nie kwapiąc się bynajmniej do oglądania widowiska wielokrotnie już oglądanego: idą nieszczęśni na nowe roboty, skąd wrócą zdziesiątkowani. Może i mnie jutro pogonią do lasu drwa piłować. Teraz byłem aktorem, miałem „błat", co w języku sołowieckim oznacza uprzywilejowane stanowisko, mieszkałem z kolegami w ciepłej celi po-klasztornej, jutro mogłem się znaleźć w zimnym baraku, rzuconym wśród lasów karelskich.

Wtem ex-generałowa wpadła spowrotem do kancelarii.

— Panie! goli!... nadzy ludzie!...

Wyjrzałem za drzwi: kroczyli gęsiego po schodach teatralnych, zdążając do foyer ludzie... nadzy. Absolutnie nadzy. Czarnoskórzy obywatele krajów tropikalnych noszą przepaski na biodrach, pozbawieni zaś wszelkich praw obywatelskich więźniowie sołowieccy kroczyli, szczękając zębami i dygocąc z mrozu, absolutnie nago. Niektórzy z nich nieśli w ręku uwiązane na sznurku swoje „rzeczy" — puste pudełko blaszane od konserw, które służyło jako kubek, miska i łyżka jednocześnie. Innego mienia nie posiadali.

Patrzyłem z przerażeniem, oczom własnym nie wierząc. Wszak działo się to nie pod równikiem, lecz na Białym morzu, pod 65 stopniem szerokości geograficznej, o 200 zaledwie kilometrów od strefy polarnej i do tego w grudniu!

— Quelle horreur! quelle horreur! — wykrzykiwała załamując ręce ex-generałowa.

Wśród nagusów szły postacie z zarzuconymi na plecy workami, szmatami, które wątpię, by chociaż trochę grzały ich zziębnięte ciała. „Golasów" naliczyłem 32 z ogólnej liczby około 200 osób. Reszta miała jakieś łachmany. Ludzie ci przejechali 5 kilometrów w łodziach przez morze z wyspy Anzer na wyspę sołowiecką; na wyspie sołowieckiej z przystani „Pert" szli piechotą 8 kilometrów do „Kremla", tj. do otoczonego murem dawnego klasztoru, w którego obrębie znajduje się teatr.

Przyznam się, że zjawisko było dla mnie tak niespodziewane, o tyle przekraczające wszelkie okropności, jakie przygotowany byłem ujrzeć, że nie byłem w stanie oburzać się nawet; stałem osłupiały, spoglądając na tę dziwną procesję, zainscenizowaną chyba przez szatana w przystępie złośliwego humoru.

To niezwykłe zjawisko wkrótce zostało wyjaśnione.

Partia składała się przeważnie ze „szpany", tj. ze złodziei. Przedstawiciele elementu kryminalnego z zamiłowaniem uprawiają hazardową grę w karty. Gdy osadzono ich na wyspie Anzer i dano rządowe ubranie, przegrali lekkomyślnie własne ubranie, nie przypuszczając widocznie, że ono jeszcze może się przydać. Gdy zaś nadeszło zarządzenie skierowania partii na Sołówki,

administracja Anzeru, która przy odsyłaniu więźniów na inną filię musiała zdejmować z nich wydane rządowe ubranie, by się każdej chwili wylegitymować z powierzonego jej opiece mienia rządowego, kazała im się rozebrać i... puściła w podróż nago.

Muszę nadmienić, że dziś fakt podobny nie mógłby już mieć miejsca, działo się to bowiem w owym okresie, gdy „szpana" była w pogardzie, gdy posyłano ją na najcięższe roboty, bito, znęcano się w najrozmaitszy sposób, starano się wytępić.

Dziś zaś stosunki są całkiem inne. Dziś „szpana" jest traktowana w obozach koncentracyjnych jako „element socjalnie bliski", jako smutne „dziedzictwo dawnego ustroju kapitalistycznego". Polityka Sowietów dziś dąży do wychowania złodzieja i przekształcenia go na prawowiernego obywatela sowieckiego. Czy im się to udaje — to inna kwestia. Dziś złodzieje i opryszki zajmują w obozach koncentracyjnych stanowiska uprzywilejowane, o ile umieją pisać mianują ich komendantami kompanii, zarządzającymi gospodarką. Więźniowie zaś polityczni, czyli tzw. kaerzy (kontr-rewolucjoniści) dziś traktowani są nader nieufnie i pod każdym względem są upośledzeni. Dziś jest nie do pomyślenia podobny przemarsz w grudniu nagiej watahy złodziejskiej, z kaerami zaś to się zdarzyć nie może choćby dlatego, że ci swoich szmat własnych w karty nie przegrywają.

Z przybyłych z wyspy Anzer golasów tejże nocy kilkunastu zmarło w foyer teatralnym. Resztę, pozostającą jeszcze przy życiu, lecz w stanie beznadziejnym, odesłano nazajutrz do szpitala.

Kradzieże.

Wraz ze zmianą kursu polityki w obozach — uprzywilejowaniem elementu kryminalnego — rozpoczęła się plaga kradzieży. Prawda, i dotąd wypadki kradzieży były w obozie zjawiskiem dość częstym, lecz potem nastąpiła wprost epidemia kradzieży. Cele, wychodząc na robotę, zamykaliśmy na klucz; na korytarzu dyżurował „dniewalny". Złodzieje jednak przenikali do pomieszczeń przez okno po drabinie, lub po przystawionych deskach. W kolejce przed kuchnią, w teatrze — w każdym tłoku wykwalifikowani złodzieje wypróżniali kieszenie nieostrożnych „frajerów". Wracającemu do swej kompanii ze świeżo otrzymaną przesyłką żywnościową wyrywano takową z rąk. Gdzieś na uboczu rzezimieszki chwytali swą ofiarę za gardło i wypróżniali kieszenie. Kradziono wszystko: pieniądze, tytoń, ubranie, bieliznę, a przede wszystkim artykuły żywnościowe.

Karano złapanych na fakcie kradzieży nie srożej niż 14 dniowym aresztem.

Lecz... do czasu dzban wodę nosi.

Wykryło się — że naczelnik obozu sołowieckiego, Mordwinow, wraz z kilkoma pracownikami sławetnego ISO był w kontakcie ze złodziejami. Złodzieje kradli i za pobłażliwe traktowanie ze strony władzy, dzielili się z tą ostatnią swym łupem...

Znów, jak piorun z jasnego nieba, zleciała komisja z Moskwy. Znów parę osób rozstrzelano. Mordwinow śladem swego poprzednika Zarina, powędrował do obozów koncentracyjnych na 10 lat, kradzieże jednak nie ustały. Wszak złodziejom potrzebne są pieniądze na

wódkę, a marynarze, przemycając alkohol z lądu, narażając się na konfiskatę i karę, biorą za butelkę wódki cenę prawie dziesięciokrotną. Wszak potrzebne są pieniądze na grę w karty. A przecież i głód trzeba też zaspokoić.

A głód z każdym rokiem stawał się coraz większy. Gdy w pierwszych latach mego uwięzienia karmiono nas soczewicą, kaszą gryczaną, kartoflami, czasem gotowano zupę na mięsie, teraz już kartofle stały się rzadkością, o grochu, kaszy gryczanej i soczewicy pamięć już dawno zaginęła, pozostała jeno ryba solona tzw. „tarań", którą karmiono nas na śniadanie i obiad. Gotowano z tej ryby polewkę, trochę zaprawioną kaszą z prosa, lub solonymi pomidorami, bardzo rzadko kartoflami.

Jedni kradli, by mieć na wódkę i na grę w karty; inni kradli, by nie umrzeć z wycieńczenia. Ci, co nie kradli, myszkowali na śmietniskach, gdzie zbierali główki od śledzi, oście tejże „tarani" i gotowali zupę, dodając pokrzywy. Nic też dziwnego, że teraz po zlikwidowaniu duru plamistego rozpoczęła się epidemia duru brzusznego i dyzenterii, ponadto wśród młodzieży szerzyła się gruźlica, inni zapadali na szkorbut lub czyraki. Koty znikły w obozie, zjedzono je. Gdy wałęsająca się po obozie suka wychudzona, szukająca wraz z więźniami pożywienia na śmietniskach, pewnego razu się oszczeniła, wszystkie szczenięta niebawem trafiły do kociołków zgłodniałych więźniów.

W obozowych sklepikach spożywczych rzadko się pojawiają artykuły spożywcze. Czasem rozejdzie się wieść, że przybyła do sklepiku beczka jakichś skwaśnia-

łych powideł. Wnet tworzy się przed sklepikiem kolejka i niebawem wszystko zostaje rozsprzedane. Czasem się pojawi beczka gnijących śledzi, które również znajdują chętnych nabywców. Chleb zaś jest ściśle normowany i w handlu się nie spotyka.

Artykułami, których nigdy nie brak w sklepiku i które można nabywać w dowolnej ilości, są: proszek do zębów, pomada do ust, puder, róż itp. artykuły kosmetyczne. I znajdują nabywców — kobiety, które szminką pragną uwydatnić swe wdzięki.

Ciekawy jest widok takiej „kokietki" w wykrzywionych, wojłokowych butach, w katorżnym szarym „kaftanie", z rękami zgrubiałymi od ciężkiej pracy fizycznej — z nakarminowanymi ustami i oczami podkreślonymi czarnym ołówkiem.

Sprzedaż wody kolońskiej została wzbroniona, ponieważ artykuł ten, tańszy od przemycanej przez marynarzy wódki monopolowej, służył więźniom za napój wyskokowy.

KIEMI.

Na Wegierakszy.

Pewnego wieczora jesiennego, gdy układałem się na spoczynek, wpadł do mojej celi komendant:

— Zbieraj się z rzeczami! Prędzej!

Osłupiałem. Dokąd?

Odprowadzono mnie do portu. Wsadzono na statek. Ruszyłem ku lądowi.

Po sześcioletnim więzieniu nie traktowano mnie już jako więźnia niebezpiecznego, tj. takiego, który będzie próbował ucieczki, przeto uznano za możliwy mój pobyt na lądzie. Z wyspy bowiem uciec jest niemożliwe. Z lądu zaś zdarzają się wypadki ucieczki fortunnej.

Przybyłem do Kiemi, małego miasteczka, odległego o 10 kilometrów od brzegu Białego morza. Za miastem otoczone drutem kolczastym stoją drewniane baraki, stanowiące mieszkania więźniów. Przeklęte to miejsce nosi miano „Wegierakszy", co w języku karelskim podobno oznacza: droga czarownic.

Część przedsiębiorstw, obsługiwanych przez więźniów, znajduje się w obrębie miejsca, otoczonego drutem kolczastym. Jest to elektrownia, drukarnia, garbarnia, fabryka zabawek, inne zaś leżą poza drutem kolczastym, mianowicie warsztaty stolarskie, krawieckie, kancelarie obsługujące obozy sołowieckie.



Cerkwie w gruzach. Nie wszędzie cerkwie i kościoły zostały w Sowietach zamienione na muzea czy hale targowe. W wielu wypadkach zrównano je z ziemią za pomocą dynamitu.



Nie tylko ludzie mrą z głodu. W Sowietach zwierzęta zostały zrównane w prawach śmierci głodowej razem z ludźmi. Oto tragiczny obraz z zimy roku 1933.

Więźniowie, pracujący poza drutem kolczastym, otrzymują przepustki na prawo wyjścia do miasta. Kontaktu jednak ze stałą ludnością Kiemi nie mają żadnego, gdyż taki kontakt narażałby zarówno jedną, jak i drugą stronę na nieprzyjemne konsekwencje.

W nielicznych sklepikach, znajdujących się w mieście, tak samo brak artykułów spożywczych, jak i w sklepikach obozowych. Na targach miejscowych można spotkać tylko dwa artykuły żywnościowe: mleko po 3 ruble butelka (pół litra) i czasem chleb czarny po 6—8 rubli za kilogram.

Odżywianie więźniów na Wegierakszy jest takie same jak i na Sołówkach, tj. solona ryba i polewka z ryby. Toteż wałęsają się wygłodzone postacie po brzegu rzeki, szukając odpadków jedzenia, wszelkie bowiem odpadki i śmiecie zwala się tutaj na brzeg rzeki.

Warunki mieszkaniowe o wiele gorsze niż na Sołówkach. W drewnianych zapluskwionych barakach na dwóch rzędach prycz lokują się więźniowie. Nie ma mowy o tym, żeby mieć chociażby jakąś półkę nad głową dla własnego użytku — tak jest ciasno. Wszystkie swoje rzeczy wraz z naczyniem do jedzenia lokujący się na dolnych pryczach trzymają w kuferkach, umieszczonych pod pryczami, mieszkający zaś na górnych pryczach wszystkie swe mienie muszą trzymać przy sobie u wezgłowia.

Kradzieże również na porządku dziennym, jak i na wyspie sołowieckiej.

Zapędzanie do pracy odbywa się według przyjętego w Z. S. R. R. systemu „udarniczestwa i sorewnowanja" (szturmu i rywalizacji). Wszyscy się zgłaszają jako

„udarniki", wszyscy rywalizują ze sobą w wykonaniu pracy ponad normę, gdyż w przeciwnym razie nie otrzymują prawa na kupno pojawiających się od czasu do czasu w sklepiku produktów.

Gazeta i radio.

Wychodzi tu co drugi dzień gazeta drukowana pt. „Trudowoj Put" („Droga Pracy"), redagowana i składana przez więźniów. Gazetka bezustannie nawołuje do zwiększenia wydajności pracy i piętnuje wszelkie przewinienia więźniów.

W każdej kompanii i w każdym przedsiębiorstwie znajduje się głośnik radiowy, połączony z centralną stacją na Wegierakszy.

W ciągu całego dnia słyszymy zachęcanie do wzorowania się na najlepszych brygadach szturmowych oraz słowa potępienia i groźby pociągnięcia do odpowiedzialności tych, którzy zalegają z robotą, w godzinach zaś wieczorowych łączą nas z Moskwą, skąd słyszymy odczyty, wiadomości bieżące (i tam też wszystko wre w tempach szturmowych), koncerty, przedstawienia operowe. O godz. 12-ej w nocy (według czasu zachodnio-europejskiego — o godz. 10) rozlegają się nieodmienne dźwięki hymnu sowieckiego (internacjonału) i do godz. 2-ej łączą nas ze stolicami państw europejskich. Słyszeliśmy często Berlin, Wiedeń, Pragę, Warszawę...

Dziwne wrażenie po tych ciągłych głosach o „udarniczestwie i sorewnowanji" wywierają dźwięki fokstrota,

słyszane z jakiejś kawiarni europejskiej. W przerwach słychać brzęk szkła, gwar rozmów... Głodny, obdarty więzień słucha tych dźwięków, marząc o życiu sytym, w czystości, nie o komforcie, lecz o najelementarniejszych wymaganiach życia po ludzku. Wszystko to dalekie, niedoścignione... Płyną marzenia naiwne o czystym kołnierzyku, o stroju europejskim, o eleganckich kobietach, o jasno oświetlonej sali, o kwiatach... Płyną marzenia o tym wszystkim, co straciło się na zawsze. Wszak to nie sen! Tam, gdzieś, daleko, o parę tysięcy kilometrów, ludzie żyją inaczej... Tam, gdzieś, w krajach „kapitalistycznych" ludzie nie przymierają z głodu, nie znają GPU...

W takim kierunku biegną myśli więźnia przy dźwiękach zasłyszanego przez radio fokstrota z kawiarni europejskiej...

Stoi więzień oparty o ścianę i słucha. Hej, łza się zakręciła w oku. Dobrze, że nikt nie widzi: śpią towarzysze. Marzy... Pluskwy poczuły żer... Śpieszą ku przytulonemu do ściany marzycielowi... Wdzierają się za kołnierz — nawracają go ku rzeczywistości...

Trzeba się bronić przed insektami... Trzeba zresztą już iść spać. Boże daj sny bez koszmarów! Trzeba jutro wcześnie wstawać do roboty...

A tam gdzieś o parę tysięcy kilometrów fala radiowa przynosi kołyszące do snu dźwięki muzyki...

W izolatorze.

Dnia 13 lipca 1933 r., gdy, siedząc w swej kompanii, spożywałem otrzymaną na obiad soloną polewkę z „ta-

rani", przyleciał zadyszany posłaniec z ISO, wołając mnie, bym co rychlej udał się za nim:

— Prędko! Z rzeczami ruszaj do ISO!

Struchlałem. O co chodzi? Nie poczuwałem się do żadnej winy... Ach, prawda! Przypomniałem sobie, że przed paru dniami skradziono mi przepustkę na prawo wychodzenia za drut kolczasty. Ten, któremu skradziono tego rodzaju dokument, odpowiadał zwykle 14-dniowym aresztem. Lecz działo się to wszystko zwykle poza ISO. Skoro zaś jestem wezwany do owej instytucji, sprawa jest o wiele poważniejsza...

Nie miałem jednak czasu na rozmyślania. Na prędce związałem swe tobołki, przerzuciłem je przez ramię i ruszyłem za mym przewodnikiem. Z ISO, nic nie mówiąc o powodach mego aresztowania, odprowadzono mnie do izolatora.

Osadzono mnie w małej celi w towarzystwie byłego dozorcy, dziś oczekującego wyroku za uderzenie kolbą prowadzonego do aresztu złodziejaszka. Dziś tego rodzaju czyny srogo są karane i mój przygodny towarzysz był poważnie zaniepokojony swym przyszłym losem. Był to młody chłopak wiejski, który trafił do obozu na pięć lat za niezapłacenie podatku zbożowego.

Zaczęło się już krótkie, północne lato. Było już bardzo ciepło, w naszej zaś celce, ponieważ można było otwierać tylko mały lufcik, panowało nawet gorąco i duchota.

Niepewność mego położenia, brak tytoniu (regulamin izolatora zabrania palić), ponury towarzysz, brak powietrza w celi — wszystko to nastrajało mnie również na ton bardzo minorowy.

Co się stało u licha? Przez cały czas pobytu w obozach sołowieckich ani razu nie byłem więziony w izolatorze, teraz dopiero, w siódmym roku odbywania kary, los dał mi zakosztować i tego! Zapewne jakieś nieporozumienie! A może jakiś „seksot" mszcząc się nade mną, uczynił fałszywą denuncjację? A może kiedyś rzekłem coś nieostrożnie i doszło to uszu władzy? Czasu na rozmyślania miałem dużo i najrozmaitsze przypuszczenia tłukły się po mej głowie jak stado wróbli, złapanych do klatki.

Ach, ta niepewność!... jakie to męczące!

W drodze.

Po dwóch dniach wyprowadzono mnie z izolatora, wydano mi 8 solonych ryb i $1\frac{1}{2}$ kg chleba, posadzono w towarzystwie dwóch żołnierzy konwoju na wóz i ruszyliśmy na dworzec kolejowy. Dokąd jedziemy — nie wiedziałem. Jeden z żołnierzy rzekł mi, że do Moskwy, drugi przebąknął o Leningradzie. Jest to system, aby więźniowi nigdy nie mówić prawdy. Mój niepokój wzrósł jeszcze bardziej, tym bardziej, że konwój (zgodnie prawdopodobnie z otrzymaną instrukcją) miał na mnie wielkie baczenie. Nie pozwolono mi wstawać z ławki, wychylać się przez okno. Każde moje poruszenie na ławce wywoływało niespokojne, a badawcze spojrzenie konwoju.

Po różnych przypuszczeniach doszedłem do wniosku, że ponieważ w ciągu siedmiu niemal lat pobytu w niewoli głód nie zdołał mnie zniszczyć fizycznie, tyfus,

szkorbut i inne choroby ominęły mnie szczęśliwie, postanowiono wytoczyć mi jakąś nową sprawę i — w najlepszym rezultacie — wyznaczyć mi nowy 10-letni termin pobytu w obozie. Lecz jaka sprawa? O co mnie oskarżą?

Przybyliśmy do Leningradu. Na dworcu tłumy. Podczas gdy siedziałem, pilnowany przez jednego z towarzyszących mi żołnierzy, drugi gdzieś się udał dla załatwienia jakichś formalności. Teraz już wiedziałem napewno, że jedziemy dalej, jedziemy do Moskwy. Nieraz ktoś z tłumu zapytywał mnie o rozkład jazdy jakichś pociągów, co wprawiało w zakłopotanie mój konwój, gdyż, jako więzień, nie mogłem mieć żadnego kontaktu z publicznością.

Muszę nadmienić, że swym wyglądem zewnętrznym, w stroju katorżnym, mało się odróżniałem od tego nędznie ubranego tłumu. Przypuszczano, że jestem jednym z podróżnych, odbywających podróż w towarzystwie znajomego żołnierza, nikomu przez myśl nie przechodziło, że jestem więźniem sołowieckim. A byłem ubrany tak, że u nas na Białorusi żebracy są lepiej ubrani. Z tego można sądzić o wyglądzie zewnętrznym publiczności dawnej stolicy Rosji.

Po usadowieniu się w innym pociągu ruszyliśmy nareszcie do Moskwy.

MOSKWA.

Butyrki.

Dnia 17 lipca przybyliśmy do celu naszej podróży. Długo siedzieliśmy na peronie dworca, nim przybyło po nas auto GPU — karetka bez okien z okratowanymi drzwiami, tzw. w języku więziennym „czornyj woron" (czarny kruk).

Już była noc, gdy stanęliśmy przed jakąś ponurą bramą. Odebrano ode mnie za pokwitowaniem moje rzeczy, zaprowadzono mnie do łaźni, po czym wpuszczono do celi, w której na dwóch rzędach prycz spało już około 40 osób. Na dźwięk zgrzytającego klucza w zamku kilka postaci podniosło się na swych posłaniach, zaczęło się mnie przyglądać i rozpytywać ktom taki.

Moje oświadczenie, że przybyłem z obozu sołowieckiego wywołało sensację. Zasypywano mnie pytaniami. Większość byli to bowiem kandydaci na zesłańców do obozów koncentracyjnych.

— Towarzysze — zapytałem — gdzie my jesteśmy? na Łubiance?

— W Butyrkach — brzmiała odpowiedź.

Westchnąłem z ulgą. Miałem bowiem przekonanie, że przybyłem na straszną Łubiankę Nr 2, że jestem w więzieniu GPU. Aczkolwiek więzienie butyrskie również

podlega kompetencji GPU, jednak, nie wiem dlaczego, nie wydawało mi się tak groźne.

Myślałem, że lada dzień mój dalszy los się wyjaśni. Mijały jednak dnie, mijały tygodnie, lato już przeszło, zaczynała się jesień, a ja siedziałem wciąż w tej samej celi, nie wiedząc, jak długo jeszcze potrwa mój pobyt w Butyrkach.

Była to cela tzw. „pieresylnaja", tj. przeznaczona dla więźniów, przebywających tutaj czasowo i przeznaczonych do dalszej podróży. Tutaj przybywali więźniowie ze śledczych korytarzy i tutaj po ich przybyciu ogłaszano im wyrok: przeważnie zesłanie do obozów koncentracyjnych na różne terminy.

Większość tych nieszczęśliwych stanowili chłopi, uciekinierzy z dalekiego wygnania, dokąd ich jako „kułaków" wysyłano całymi rodzinami.

Żyli ludzie gdzieś wśród tundry pieczorskiej w drewnianych barakach i codziennie o świcie wychodzili na przymusową robotę do lasu. Dzieci, starcy, mężczyźni, kobiety, wszyscy razem, rodzina przy rodzinie na wspólnych pryczach. Tutaj też w tym zimnym, ciemnym i brudnym baraku jedni umierają, inni się rodzą.

Względy wstydliwości w tych warunkach już nie istnieją. Żyją, jak ludzie pierwotni. Umierają na szkorbut, suchoty, dyzenterię, a przeważnie na tyfus plamisty. Umierają też wprost z wycieńczenia, z głodu. Wynagrodzenie pobierają przeważnie w naturze, lecz norma pracy jest tak wygórowana, że dokonać jej, szczególnie dla człowieka wycieńczonego, jest bardzo trudno, przeto robotnik... nie otrzymuje należnej mu racji chleba, lecz w takiej tylko ilości, jak starcy i dzieci, tj. 200 gramów.

W myśl hasła: „obszczestwiennoje pitanje jest, put, k socjalizmu" — wspólne odżywianie się jest drogą do socjalizmu — nikt sobie strawy nie gotuje, zresztą i nie ma co gotować, — na to są ogólne kuchnie. A owe kuchnie wydają na obiad miskę słonej polewki i czasem soloną rybę.

Dlatego owi wygnańcy wolą więzienia, wolą obóz koncentracyjny, gdzie roboty są lżejsze i racja chleba stała, niż owe życie na „wolności". Toteż uciekali od tego życia masowo. Przedostawali się jakoś szczęśliwie do Moskwy, bądź piechotą, bądź pociągami towarowymi „na gapę", lecz tutaj na dworcu kolejowym, w czerwonej stolicy, czujne oko agentów GPU wykrywało ich, oddając w ręce swoich organów śledczych. Czekała ich za ucieczkę kara zamknięcia w obozie koncentracyjnym na trzy lata.

W Butyrkach widziałem wielu tych wynędzniałych chłopów, przeważnie z Ukrainy, gdyż Ukraina daje największy odsetek tych przymusowych osiedleńców w tundrach północy. Widziałem jak wygłodzeni pochłaniali chciwie więzienną rację chleba (400 gram.), która po długim poście nie była w stanie zaspokoić ich głodu, i wyszukiwali w okolicach „paraszy" (znajdująca się w każdej celi więziennej beczka z nieczystościami) łupiny od ogórków oraz inne odpadki, wyrzucane przez tych, którzy otrzymywali od krewnych wikt z miasta.

Towarzysze więzienni często tutaj się zmieniali. Prawie co tydzień, zwykle w nocy, drzwi celi z hałasem się otwierały i dozorcy wywoływali więźniów, przeznaczonych na etap. Wśród ogólnej ciszy rozlegało się odczytane nazwisko, a właściciel jego winien był odpowiedzieć

swoje imię i imię ojca (otczestwo). Po czym pośpiesznie pakował swoje łachy i był już gotowy do drogi na straszne jutro, które go czekało gdzieś w nieznanych krainach. Dopiero po wyprowadzeniu z celi i zgromadzeniu wszystkich wywołanych ogłaszano im, do jakiego obozu są przeznaczeni.

Po przerzedzeniu w ten sposób naszej celi, w ciągu tygodnia stopniowo znów ją zapełniano. Niemal codziennie wpuszczano nowych i nowych więźniów. Oczywiście każdego nowoprzybyłego otaczano i zarzucano pytaniami: kto zacz, skąd, za co. Po zaspokojeniu tej ciekawości dawano mu spokój i już więcej nie interesowano się jego osobą.

Za późne żale.

Nieraz, leżąc wieczorem na pryczy, gwarzyłem ze swoimi sąsiadami. W tej przelewającej się fali więźniów znalazłem dwóch rodaków z Wilna, robotników z huty szklanej, byłych hromadowców. Przekroczyli granicę, omamieni widmem „budownictwa socjalistycznego", myśląc, że znajdą tutaj swoją drugą „ojczyznę robotniczą", a znaleźli więzienie, potem czeka ich obóz koncentracyjny, a w końcu zesłanie gdzieś na roboty na daleką północ, co nie jest lepsze od zamknięcia w obozie. Dziś przejrzeli, żałowali swego kroku, klęli agitatorów, z tęsknotą wspominali rodzinne Wilno. Nieraz gwarzyłem z robotnikiem z Łodzi, byłym komunistą, który przybył do Z. S. R. R. również nielegalnie z delegacją robotniczą, z powodu jakichś uroczystości sowieckich. Delegacja

była oczywiście fetowana. Podobało mu się. Inni odjechali, on pozostał. Przybysz z zachodu, nie oswojony z reżimem sowieckim, zaczął zbyt otwarcie wypowiadać swe spostrzeżenia krytyczne. Trafił do więzienia i dziś, leżąc obok mnie na pryczy, klął komunizm i komunistów, oczekując, co mu los dalej zgotuje. Spotkałem się tutaj z dezerterem z wojska polskiego, jednego z pułków, stacjonowanych w pobliżu Wilna. Ten również żałował swego kroku.

Za późne żale!

Ci wszyscy tutaj są niepotrzebni. Ci, co widzieli życie w krajach „burżuazyjnych", ci, co mogą porównywać warunki życia w tych krajach i w kraju „zwycięskich piatiletek" — są elementem niepewnym. Tam, na zachodzie, jako szerzyciele fermentu, są pożądani, popierani, subsydiowani. Tutaj w Z. S. R. R. stają się łatwo „kontr-rewolucjonistami". Własna młodzież, młodzież wychowana po rewolucji, młodzież, która nie może sobie uprzytomnić, że gdzieś można kupić chleba w dowolnej ilości bez kartek i bez ogonków — tylko ta młodzież przedstawia wartość w państwie socjalistycznym.

Aczkolwiek i wśród tej młodzieży szerzy się ferment. Zapytywałem pewnego młodzieńca, niezadowolonego z istniejącego w Rosji porządku rzeczy, jaki ustrój wydaje mu się lepszy? Odpowiedział mi, że Sowiety, lecz... bez Stalina! Inny znów, opowiadał mi za co trafił do więzienia. Należał do grupy terrorystów. Mieli zamiar dokonać zamachu na Stalina. Gdzie, jak, w jaki sposób — szczegóły nie były obmyślane. Bronią, posiadaną przez nich, był jeden rewolwer, odebrany od obezwładnionego przez nich milicjanta. Jeden z towarzyszy, jak zwykle

bywa, zdradził. „Spisek“ się wykrył. Przez cały czas mego pobytu w więzieniach ani razu nie spotkałem kontr-rewolucjonisty „z prawdziwego zdarzenia“. Wszyscy są tak sterroryzowani, wszelka wolna myśl tak zabijana jest w zarodku, że o jakiejś rewolcie nie może być mowy. Więcej jeszcze: ci, których skazano z winą lub bez winy, zamiast nienawiści do reżimu i swoich ciemiężców, czasem powiadają: „dobrze mi tak... władza wie co czyni... byłem słaby, wahałem się... tacy niepotrzebni... oddano mnie do zahartowania... zresztą, co znaczy moje jedno życie albo i tysięcy nawet takich, jak ja, w porównaniu z tym wielkim budownictwem“... itp.

To już wyraźna psychoza.

Rozmawiałem z pewnym inżynierem, typu rozpowszechnionego do niedawna „wrieditiela“ (szkodnika) z tych, co plwają na siebie i przyznają się do win niepopełnionych. Chodził po naszej olbrzymiej celi z kąta w kąt, i targając ręką czuprynę, mówił:

— Diabli wiedzą, cośmy nagadali! Wprost tworzyliśmy powieść o rzeczach nieistniejących. Zahypnotyzowano nas, czy co u diabła! Zdawało się nam, że tak lepiej... Że lepiej i dla nas i dla sprawy socjalizmu...

„K o n w e j e r“.

Stykając się z nowoprzybywającymi do naszej celi, dowiedziałem się o nowych sposobach badania, praktykowanych przez GPU. W pierwszych latach mego uwięzienia przymus fizyczny podczas badania nie był stosowany. Bito jedynie na pogranicznych posterunkach

GPU. Dziś jednak ten sposób badania praktykowany jest dość często nawet w Moskwie. Oczywiście do każdego więźnia stosowane jest indywidualne podejście. Jednych usiłują nakłonić do podpisania żądanych zeznań biciem, innych straszeniem tylko. Często z dobrym wynikiem praktykowany jest przy badaniu sposób zwany „konwejerem". Polega on na tym, że badanemu odmawiają prawa do snu.

Badający zmieniają się jeden za drugim, więzień zaś ma możność zdrzemnięcia się czasem w ciągu tylko 5—10 minut, o ile się spóźni kolejny badający.

Takie badanie trwa czasem siedem dni i dłużej, zależnie od systemu nerwowego badanego. Gdy badany zasypia, oprawcy oblewają go zimną wodą, stukają jakiemiś brzękadłami koło uszu.

„Myśli się mącą — opowiadał mi jeden, którego badano sposobem konwejeru w ciągu pięciu dni — zapomina się znaczenia wyrazów. Zamiast imion osób plączą się na ustach nazwy geograficzne. Zdaje się, że na głowę nasadzono jakąś czapkę żelazną. Parokrotnie chwytałem się za głowę, pragnąc zdjąć ją, i byłem zdziwiony, gdy dłonie dotykały moich własnych włosów... Pragnienie snu jest tak niepomierne, że się wypowiedzieć nie da"...

Nic dziwnego, że z taką „żelazną czapką" na głowie „wrieditieli" tworzą powieści o rzeczach nieistniejących.

Towarzysze z Sołówek.

Pewnego dnia drzwi celi się otworzyły i wpuszczono trzy nowe postacie, wynędzniałe, lecz nie podobne do

uciekinierskiej masy „chleborobów". Z ciekawością przyglądałem im się, tym bardziej, że jeden z nich był w szarym sołowieckim „kaftanie", znajomym mi stroju katorżnym. Wreszcie zbliżyłem się do nowoprzybyłych, zwracając się do człowieka w „kaftanie":

— Przepraszam, towarzyszu, czy nie jesteście z obozu sołowieckiego?

Okazało się, iż tak jest istotnie. Indagowany przeze mnie „towarzysz" był to ksiądz A. F. Dwaj inni zaś — ksiądz M. B. i ksiądz W. P. Jak się dowiedziałem, wywieziono ich z obozu, również jak i mnie, nagle, niespodziewanie, z takim nawet pośpiechem, iż P. i F. przetransportowano z wyspy sołowieckiej na aeroplanie, gdyż tego dnia statek nie odchodził. Zaczęliśmy snuć przypuszczenia co do powodów osadzenia nas w więzieniu butyrskim. Ponieważ wszelkie domysły po głębszym rozważaniu okazały się bezpodstawne, ostatecznie ustaliło się u nas przypuszczenie, że gotują nas na wymianę.

Potwierdził to ksiądz B., zaznaczając, iż istotnie przypuszczenie co do wymiany ma pewne podstawy, gdyż krewni jego w Litwie robią o to starania.

W Litwie?! Byłem skonsternowany, nie mogłem bowiem przypuszczać, by Litwa wymieniała mnie z Sowietami na uwięzionego komunistę.

Ja bowiem, jeżelibym mógł oczekiwać wymiany, to tylko ze strony Polski, gdzie miałem kolegów i przyjaciół. Sprawa znów się staje niejasna. Znów przypuszczenia pełne pesymizmu, jako to: wytoczenie nowej sprawy, przeniesienie do innego obozu itp.

Zmęczony przeróżnymi dociekaniami o moim przyszłym losie stałem przy kracie okiennej, spoglądając na rosnące na podwórzu butyrskim suchotnicze topole.

Nazajutrz księży przeprowadzono na inny korytarz — śledczy. Słaby promień nadziei, błysnąwszy na chwilę, tak samo prędko zgasł. A więc nie może być mowy o wymianie. Więc księża zostali sprowadzeni do Moskwy celem wytoczenia im nowej sprawy.

Lecz dlaczego mnie tu trzymają w tej celi już drugi miesiąc bez badania, nie wysyłając, ani nie przenosząc nigdzie?

Minęło parę dni. Znów pojawiły się w mej celi dwie osoby, z wyglądu swego niepodobne do innych. Był to ksiądz W. D., który przybył z obozu karnego z Syberii, jego zaś towarzysz K. W. 70-letni starzec, przybył z wygnania. Posiada córkę w Kownie.

Znów się zaczęły domysły i przypuszczenia co do naszej przyszłości. I znów wszelkie przypuszczenia co do ewentualnej wymiany rozbijała ta okoliczność, iż W. posiada rodzinę w Kownie.

Co za licho! Przemyśliwaliśmy naszą sytuację niezliczoną ilość razy i nie mogliśmy zatrzymać się na żadnych pewnikach.

Głód nam strasznie doskwierał. By polepszyć nieco nasz wikt, zgłosiliśmy się z księdzem D. jako posługacze na korytarz.

Nosiliśmy z kuchni beczki z obiadem dla więźniów, rozdzielaliśmy kaszę, myliśmy schody, korytarz i ustęp. Otrzymywaliśmy za to większą rację żywnościową.

Wtem po paru dniach i D. z W. przeniesiono na inny korytarz. Znów pozostałem sam ze zmieniającym się ciągle tłumem przyprowadzanych wciąż nowych uciekinierów[1]).

Niespodzianki.

Dnia 4 września, gdy byłem zatrudniony myciem korytarza, oderwał mnie od pracy starszy dozorca więzienny. Przybył w towarzystwie fryzjera. Posadzono mnie na stołku i ogolono.

Przyjmowałem ze zdziwieniem te zabiegi około mej osoby, gdyż golenie więźniów nie było w zwyczaju w celi „pieresylnej", gdzie siedzieli ludzie czasowo, przeznaczeni do dalszych transportów.

Od tej chwili wypadki następowały po sobie z nadzwyczajną szybkością. W pół godziny po ogoleniu zaprowadzono mnie do łaźni, gdzie wydano mi czystą bieliznę wzamian starej, niezmienianej już od sześciu tygodni. Zaledwie zdążyłem po łaźni wrócić do celi, gdzie zacząłem opowiadać towarzyszom o swych niezwykłych przygodach, gdy drzwi się otwarły i wywołano mnie z rzeczami na korytarz. Przeprowadzono mnie do innego skrzydła więziennego i osadzono w celi jednoosobowej, gdzie dano mi sporą miskę kaszy, czajnik z herbatą, dziesięć papierosów, czystą pościel, poduszkę.

---

[1]) Z górą za miesiąc po powrocie do Polski, w końcu października, dowiedziałem się z pism, że księża, z którymi siedziałem w Butyrkach i snułem przypuszczenia co do naszego losu, w drodze wymiany więźniów politycznych wrócili do Litwy. A więc nie mylili się w swych przypuszczeniach.

Po tylu latach pierwszy raz rozkoszowałem się samotnością. Zapaliłem papierosa i zacząłem rozmyślać o swym nowym położeniu. Jedno z dwojga: albo sprawa moja ma się bardzo źle, albo bardzo dobrze. Albo traktują mnie tutaj jako „wielkiego" przestępcę politycznego i z tego względu tak „honorują", albo...

To drugie przypuszczenie nie chciało pomieścić mi się w głowie. Po tylu już przeżytych rozczarowaniach nie chciałem mieć nowego.

Lecz nie dużo miałem czasu na rozmyślanie. Drzwi się otworzyły i sprowadzono mnie na dolny korytarz, gdzie oczekiwał jakiś gepista.

— Czy nie ma pan lepszego ubrania? — zapytał uprzejmie, spoglądając na szmaty, w które byłem ubrany.

— Odrzekłem, że nie posiadam.

— Pojedziemy zaraz do radcy poselstwa polskiego... Pan będzie wymieniony do Polski...

Z nadmiaru szczęścia zaparło mi dech w piersiach. Wszystko dokoła mnie zawirowało. Oparłem się o ścianę, by nie stracić równowagi. Skurcz nerwowy schwycił mnie za gardło.

— Jaka szkoda... — wybełkotałem zachrypniętym głosem.

— Czego szkoda?! — zdziwił się gepista.

— Szkoda, że już nie będę mógł wziąć udziału w budownictwie socjalistycznym.

Gepista spojrzał na mnie badawczo. Ironia była zbyt wyraźna...

Ku granicy.

Nazajutrz w odkrytym aucie w towarzystwie oficera sowieckiego i żołnierza jechałem na dworzec kolejowy. Jechaliśmy ku granicy...

Pilnowano mnie jednak w wagonie tak starannie, jakbym jechał nie na wolność, lecz z powrotem na Sołówki, i zachodziła obawa, bym nie spróbował ucieczki. Nawet do ustępu nie mogłem się udać bez konwoju...

Pociąg mknie szybko, a mnie zdaje się, że wlecze się żółwim krokiem.

Nareszcie — Mińsk.

Wysiadamy.

Do odejścia pociągu mamy około dwóch godzin czasu. Wprowadzają mnie do lokalu kolejowego GPU. Oświadczają mi, że otrzymam widzenie z matką moją, zamieszkałą w Mińsku. Istotnie za chwilę drzwi się otwierają i wchodzi trzęsąca się ze wzruszenia staruszka. Udzielono nam tylko pół godziny rozmowy. Przy pożegnaniu oddaję matce około kilograma czarnego chleba, który mi dano w Butyrkach na drogę. Ręce matki się trzęsą.

— Synu mój! taki hojny dar... Myśmy tak dawno nie mieli takiej ilości chleba! Ale może tobie się przyda?

— Niech mama będzie spokojna... Mnie ten chleb już się nie przyda...

Jedziemy dalej. Kołosowo — granica!

Wprowadzają mnie do pogranicznego lokalu GPU. Żołnierz sowiecki ani na krok mnie nie odstępuje. Na chwilę zatrzymał się jakiś pociąg osobowy. Wciąż cze-

kamy. Przeszły jeszcze dwa pociągi towarowe. Czekamy. Upłynęło już z górą dwie godziny. Już zmierzch się zbliża...

Kiedyż do licha!

Oglądam porozwieszane na ścianach „łozungi" i portrety „wodzów". Już prędko was pożegnam — na zawsze!...

Idzie jakiś pociąg...

— Nie, to wiatr huczy — powiada pilnujący mnie żołnierz.

Wtem wpada sowiecki oficer, który eksortował mnie z Moskwy.

— Sobirajties z wieszczami! (Chodźcie z rzeczami).

Po raz ostatni już słyszę tę komendę, która wciąż obijała się o moje uszy podczas przebywania w kazamatach. Chyżo chwytam swoje tobołki i ruszam na peron.

Lecz... w tej chwili odczułem, że nie jestem więźniem; przeciwnie jestem osobą honorowaną. Naczelnik bowiem naszego pochodu, jakiś gepista w długim szynelu, z rombami na kołnierzu, co świadczyło o jego wysokim stopniu wojskowym, skomenderował:

— Wziat, wieszczy! (Wziąść rzeczy).

Wnet podskoczył ku mnie czerwonoarmiejec, który uprzejmie pochwycił moje toboły, i ruszyliśmy. Pochód otwierał gepista z jeneralskimi odznakami ja kroczyłem za nim, z boku żołnierz z moimi rzeczami, za mną mój konwój, dalej jacyś ludzie... Nie zwracałem na nich uwagi.

Wymiana.

Fatalna pogoda. Wicher huczy w pobliskim lesie, pędzi chmury, które lecą w pośpiechu, tłocząc się jedna

na drugą, jakby pragnąc przelecieć prędzej ponad sowiecką bramę graniczną, oddzielającą dwa światy. Wpatruję się w ten napis: „Socjalizm sotriot wsie granicy“ (Socjalizm zniesie wszystkie granice), widziany przeze mnie tak dawno, w listopadzie r. 1926, gdy jechałem do państwa Sowietów z wiarą w możność kulturalnej pracy białoruskiej tam, w B. S. S. R. Wtedy też była jesień, lecz ja jechałem z nadzieją wiosny w duszy. Dziś wracam, tułacz, w kaftanie więziennym, otrzeźwiony Sołówkami, uszczęśliwiony, że za chwilę noga moja przestąpi granicę państwa budującego się socjalizmu. Dziś jest też jesień, lecz w duszy mej rozkwita jakaś nieopisana radość...

Wpatruję się w zbliżający się ku nam pochód...

Mój gepista również jest wpatrzony w zbliżającą się ku nam grupkę, gdyż od czasu do czasu reguluje nasz krok:

— Wolniej!... Pribaw, szagu! (Prędzej!).

Chodzi snadź o to, aby stanąć na umówionym miejscu na granicy o ściśle określonej godzinie. Niegrzecznie bowiem byłoby kazać na siebie czekać, a zbytni pośpiech naraziłby na szwank prestiż państwa. Tak rozumiałem owe komendy.

Już rozróżniałem twarze zbliżających się ku nam ludzi. Na przodzie szedł jakiś wysoki mężczyzna w cywilnym ubraniu. Za nim postępował z dwoma policjantami po bokach ten, którego rząd polski wymieniał na mnie — Bronisław Taraszkiewicz. Wyczułem w tej chwili nie tylko nasz kontrast duchowy, lecz i fizyczny. Więzień „państwa kapitalistycznego“ szedł w porządnym filcowym kapeluszu, w dobrze skrojonym płaszczu je-

siennym, w nieskazitelnie wyczyszczonych butach... Więzień sowiecki szedł w nędznym, postrzępionym kożuchu przykrywającym kaftan sołowiecki.

On szedł z niewyraźnym uśmiechem na twarzy, ja zaś po tylu latach niewidzenia patrzyłem z ciekawością na tego człowieka, który, acz w dobrej wierze — tyle złamał żyć ludzkich, skierowując wzrok swych rodaków na fata morgany zza kopców granicznych.

Ceremoniał wymiany. Salutowania, uchylania kapeluszy, uściski dłoni, podpisywanie aktu wymiany. Ongiś przyjaciele, dziś ludzie obcy, których drogi rozchodzą się w tak różne strony, podaliśmy sobie ręce. Zwykłe komplementy więzienne: „Dobrze wyglądasz". „Ty również". „Dziękuję, ale wątpię"...

Potem parę słów goryczy za złudy, które pierzchły, w końcu — ostatni chłodny uścisk dłoni.

— Szczęść ci Boże!...

Rozeszliśmy się w różne strony.

Tamten z więzienia pójdzie tam, gdzie cały olbrzymi kraj jest jednym wielkim więzieniem, gdzie myśl ludzka jest ściśnięta obcęgami sowieckiego absurdu, gdzie nie tylko działać i mówić, lecz nawet myśleć i dyszyć trzeba według jednego dla wszystkich szablonu, on pójdzie do kraju białego niewolnictwa, głodu, nędzy, ludożerstwa, ja zaś zdążam na zachód, do państw „kapitalistycznych", gdzie będę mógł spać spokojnie, wiedząc, że w nocy goście z GPU nie zapukają do drzwi mego mieszkania.

Byle się nie śniły tylko sny koszmarne! Byle zapomnieć o piatiletkach, udarniczestwie, sorewnowanii, o ludożerstwie!...

Jestem pijany ze szczęścia. Coś mówię, dużo mówię... Idziemy do świetlicy KOP-u. Coś opowiadam... O, bo istotnie można być pijanym ze szczęścia! Jakież to dziwne uczucie! Pióro me nie podoła opisać tego stanu.

Miguel Cerwantes da Saavedra, podobno, po powrocie z niewoli u piratów algierskich rzekł, że największym szczęściem, jakiego człowiek może doznać na ziemi, jest radość z odzyskanej wolności. Tego właśnie szczęścia doznałem dnia 6 września 1933 roku. Mówię o swojej radości. Dziękuję... Dławię się słowami... Coś mnie ściska za gardło ze wzruszenia...

Kto wie, może warto siedem lat być dręczonym w kazamatach sowieckich, by doznać tej chwili — tego największego szczęścia.

Ta chwila już więcej się nie powtórzy. Raz w życiu tylko się ją przeżywa.



Tego wieczoru już siedziałem w gospodzie w Stołpcach i spożywałem wieczerzę z mięsem. Jadłem prawdziwy wołowy befsztyk! Z cebulą! Z kartoflami! Z białym chlebem! Nic więc dziwnego, że po tylu latach głodówki przyśnili mi się w nocy — bolszewicy.

A nazajutrz — spotkanie z przyjaciółmi na dworcu w Wilnie...

Teraz — do nowego życia, do nowej pracy! Koszmar minął.

KONIEC.

SPIS RZECZY